

BRUCE LEE: prawda i legenda

str. 10

Matury
w obiektywie
Waldemara
Stępnia - str. 4-5

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena



NR 12 (779)

5 - 18 czerwca 1983

CENA 10 ZŁ

Zjazd dziennikarzy

3 CZERWCA w Warszawie rozpoczyna obrady I Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, który uchwali program przyszłego działania i wybierze nowy zarząd główny, spełniając tym samym swój niejako rutynowy obowiązek. Nie byłoby to więc warte nawet wzmianki, gdyby nie fakt, że dotychczasowe kierownictwo SD PRL działało jako tymczasowe, a cały życiorys organizacji obejmuje nieco ponad rok. Nie potrzeba większego wysiłku pamięci, by zorientować się, że okres ten prawie dokładnie pokrywa się z kalendarzem przełomu politycznego w Polsce.

Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL powstało w marcu 1982 r., niedługo po rozwiązaniu SDP - organizacji skompromitowanej politycznie przez swoje ostatnie kierownictwo, któremu pomieszaly się nie tylko strony świata, ale i punkty regulaminu życia społecznego, opartego u nas, jak wszędzie na skali odpowiedzialności za losy kraju. Samo SDP posiadało przecież bogatą i pożyteczną tradycję, której nikt i nie mógł zdeprecjonować. Wiele niejedną z nas i rozżaleniem i irytacją przyjął decyzję o zlikwidowaniu organizacji, z którą identyfikował się zawodowo i emocjonalnie. A kiedy do naszych kolegów zdecydowało się na powołanie SD PRL z różnymi uczuciami fakt ten przyjęto. Pamiętajmy wszak, że było to trzy miesiące po ogłoszeniu stanu wojennego, w momencie zbiorowego oszołomienia i wszczepiania w ludzi apatii.

Trzeba jednak wiedzieć, że nowa organizacja z miejsca zyskała poparcie setek a rychło tysięcy dziennikarzy. W pokaźnej części środowiska od dłuższego bowiem czasu umacniało się przekonanie, że drogi działania kierowniczych gremiów SDP mijają się z paradygmatem ideologicznym naszego ustroju, a fakt ten nie może pozostać bez sprzeciwu.

Po roku istnienia SD PRL można powiedzieć, że stowarzyszenie pomyślnie przeszło pierwszy, organizacyjny etap egzystencji. Czy to znaczy, że od tego momentu będziemy się już tylko pięknie rozwijać, rozrastać, zapominając o niedawnych kontrowersjach? Śmieszne byłoby takie przekonanie. Mamy do załatwienia kilka problemów zawodowych i społecznych, a jak one się zwą, sami najlepiej wiemy. Najważniejszą jednak sprawą, którą musi zająć się stowarzyszenie dla dobra całego polskiego dziennikarstwa i własnego autorytetu, jest kwestia zasad działalności informacyjno-publicystycznej ludzi pracujących w prasie, radiu i telewizji. Nie ma powrotu do stylu sprzed sierpnia 1980 r., choć wypada w tym miejscu głośno powiedzieć, że wierutnym i obraźliwym łgarstwem jest, jakobyśmy w tamtych latach występowali głównie w roli klakierów. Kto nie wierzy, niech przekartkuje w bibliotece roczniki gazet i czasopism z tamtych czasów.

Podnosząc sprawę zasad naszej działalności publicystycznej, mamy świadomość jej politycznych uwarunkowań. Dziennikarstwo jest zawodem politycznym, sprzężonym z mechanizmami owej sfery i kto nie pojął tej prawdy, będzie ciągle narażony na wewnętrzne (przynajmniej) konflikty. Być dziennikarzem to znaczy dokonać wyboru wśród istniejących systemów wartości i racji politycznych. Czyli co? Znowu jednokierunkowa uliczka, ewentualnie z bocznkami, na których pohasać można swobodnie? W żadnym razie. Bo przyjęcie takich czy innych zasad nadrzędnych wcale nie musi prowadzić w ową „uliczkę”. Pryncypia określają tylko rozległą przestrzeń, w jakiej jest miejsce na indywidualne poglądy, spory i dyskusje, które - jak sądziliśmy się nieraz przekonać - jedynie uwierzytelniają to, co należy do sfery wartości kano-



Fot. Andrzej Kozłara

Dzleci, nie drzyjcie butów!

PO KONTROLI...

ROZMOWA Z I SEKRETARZEM
KW PZPR W ZAMOŚCIU
WŁADYSŁAWEM KOWALEM

— Ile to już czasu minęło od tego dnia, kiedy wybrano was na stanowisko I sekretarza KW PZPR w Zamościu?

— Pół roku. Czas biegnie bardzo szybko, zwłaszcza wówczas, kiedy człowiek staje się starszy. Ale rzecz nie tylko w tym. Problemy, z którymi tu się zetknąłem, są bardzo nabrzmiałe, wymagają szybkich rozwiązań.

— Zanim o tych problemach pomówimy chciałbym, abyście poświęcili kilka słów własnej oso-

bie. Jak wiem, od lat byliście związani z Ziemią Zamojską...

— Dokładnie od urodzenia. Na świat przyszłem w Brzezinach. Na Ziemi Zamojskiej mieszka prawie cała moja rodzina. Tutaj spędziłem okupację hitlerowską, a spędziłem ją w centrum ruchu oporu - w rejonie Puszczy Solskiej. Po ukończeniu studiów w 1954 roku powróciłem w te strony, pełniąc szereg mniejszych i bardziej odpowiedzialnych funkcji.

Dokończenie na str. 11

Dokończenie na str. 8

z notatnika

21 V. W „Trybunie Ludu” artykuł Marka Rudnickiego: „Półtora roku po lubelskich strajkach. Potwarczy działają z ukrycia”. Autorowi chodzi o strajki w szkołach. „Dziś — pisze on — otwartego konfliktu wprawdzie już nie ma, ale pojawiło się nowe zjawisko. Niektórzy z tutejszych nauczycieli nazywają je — po prostu — wojną psychologiczną i ta nazwa wydaje im się zupełnie oczywistą. Samo zjawisko już nie jest takie oczywiste. Nikt chyba nie podejrzewał, że może się ono pojawić. A stało się to w ubiegłym roku. To właśnie wówczas w „Solidarności nauczycielskiej”, czyli w nielegalnym „Biuletynie pracowników oświaty i wychowania” byle „Solidarności”, po raz pierwszy padło słowo „kolaboranci”, by z czasem stać się tytułem stałej rubryki. I posypały się nazwiska pedagogów z dopiskami „wyjątkowo groźny demagog”. Albo: „zakłamanie, przewrotność, poślusze bezgraniczne, mściwość, zachłanność, zawiść — to główne cechy charakteru tej wychowawczyń młodzieży”. Albo — „zera umysłowe i moralne”. Albo jeszcze — „zabłysnęli jako gwiazdy telewizyjne i radiowe oraz wykazali zacięcie grafomańskie” — i tu wykaz osób. Tworzenie owych list „kolaborantów” to wcale nie jedyny element wywierania psychicznej presji na tych, którzy myślą inaczej niż autorzy biuletynów. Nieomal równoległe z tym zaczęły się serie nocnych telefonów do „kolaborantów”, rozpoczynanych i kończonych wyzwiskami i epitetami, zaczęły napływać listy z „wyrokami śmierci” albo anonimami...”

Nie będę w całości cytował artykułu (odszyłam do „Trybuny” z 21/22 maja lub „Sztandaru Ludu” z 25 maja), ale wlos się człowiekowi jeży na głowie, jeśli to rzeczywiście nauczyciele, czynni zawodowo (zresztą — czy czynni zawodowo, czy nie, to mało ważne) mieli zajmować się tak podłą działalnością. Odczuwam zadowolenie, że nie mam już dziecka w wieku szkolnym. Nie żyję przynajmniej obaw, że w polskiej szkole mogą mu zrobić wodę z mózgu.

Rodzice wychowywali mnie w duchu tolerancji. Jeśli inni nie wyznają tej zasady, dlaczego ja miałbym być tolerancyjny? Na szczęście nie jestem kuratorem i decyzje personalne nie zależą ode mnie.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej problem kadr dla oświaty w Niemczech Wschodnich, dzisiejszej NRD, rozwiązano radykalnie, choć poziom nauczania został chwilowo obniżony. Jak? Niektórzy nauczyciele historii powinni o tym wiedzieć!

22 V. Nie trzeba chwalić dnia przed zachodem słońca. „Motor” na własnym boisku tylko zremisował z kieleckimi „Błękitnymi” i spadł na drugie miejsce w tabeli, bo „Resovia” wygrała mecz wyjazdowy z „Górnikiem” Knurow. Oslodą jest zwycięstwo świdnickiej „Avii” (też na wyjeździe) z kielecką „Koroną”. Lublin i Świdnik urwali więc Kielcom w sumie trzy punkty, tracąc jeden. Ale ten jeden może być, kto wie, na wagę awansu „Motoru” do I ligi...

W eliminacjach do mistrzostw Europy w piłce nożnej nie udało się nam pokonać drużyny radzieckiej. Remis w Chorzowie jest właściwie porażką. Nie mamy szczęścia do mistrzostw Europy w tej dziedzinie sportu. Wydaje się, że powtórzą się historie sprzed lat, kiedy kolejno odpadaliśmy w przedbiegach. Prześladowuje nas pech: z Finami padła bramka samobójcza, podobnie było w Chorzowie. Nie chciałbym być w skórze Wójcickiego, chociaż ten pragnął jak najlepiej. Niestety, nie wyszło...

Polacy nie rozegrali jednak zlego meczu. Słaba to pociecha, ale przecież nasza reprezentacja dopiero konsoliduje się. Nowi, których wypróbowała Piechniczek, sprawują się nad wyraz dzielnie. To dobry prognostyk na przyszłość, jako że na rozgrywkach europejskich świat piłki nożnej się nie kończy...

24 V. Przyjechała z Wiednia do rodziny w Lublinie moja znajoma, p. Wiesia N. Chodzi po Lublinie i widzi, że polki w sklepach są pełniejsze niż na jesieni ub. r. Zagląda do zapelnionych wiernymi kościołów i twierdzi, że w katolickiej Austrii świątynie świecą pustkami, a księży jest tak mało, że niektóre parafie są zupełnie nie obsadzone, dobrze, gdy ksiądz zawita tam raz na trzy miesiące. „Ciekawa jestem, jakby to w Polsce było, gdyby każdy deklarujący się jako katolik musiał płacić Kościołowi podatek?” W Austrii podatek kościelny wprowadzono po hitlerowskiej aneksji. Wiele zarządzeń z tego smutnego dla Austrii okresu anulowano, podatek kościelny jednak pozostał. Jak to wygląda w praktyce? Każdy meldujący się w miejscu swego zamieszkania musi wypełnić rubrykę: wyznanie. Władze miejskie przekazują spis wyznawców poszczególnym kościołom. Kościół katolicki wyznacza im odpowiedni podatek zależnie od zarobków. Ile kto zarabia — wie, bo urzędy skarbowe udzielają odpowiednich informacji. Gdy w przewidzianym terminie wierni nie płaci podatku kościelnego, otrzymuje upomnienie. Jeśli to nie skutkuje, w mieszkaniu zjawia się... komornik.

Niektórzy — nawet wierzący — nie chcą płacić. Zgłaszają się do magistratu i meldują, że stali się bezwyznaniowcami. Odpowiednie dokumenty otrzymują władze kościelne. Jeśli jednak ktoś zalegał z podatkiem, taka deklaracja nie działa z mocą wsteczną. Trzeba zapłacić zaległości, choć tu Kościół niekiedy idzie na rękę i rozkłada dług na raty.

W katolickiej Austrii większość pogrzebów to pogrzeby świeckie. („Nie zawsze można zamówić księdza, bo po prostu jest ich za mało, a poza tym to kosztuje sporo pieniędzy...”).

Notuję te informacje bez komentarza...

Pani Wiesia N. spotyka się w Lublinie z różnymi swymi dawnymi znajomymi i dziwi ją niektóre poglądy przez tychże znajomych wypowiedziane. Kiedy usiłuje polemizować, słyszy: „Co ty wiesz o kraju, przyjeżdżasz z innego świata...” Pani Wiesia odpowiada: „Czasami więcej się widzi, kiedy się

wejdzie na wieżę, niż kiedy stoi się pod wieżą...”

A w tym innym świecie p. Wiesia pobiera miesięcznie 4 tysiące szylingów. Jest to bardzo skromna emerytura. Za komorne płaci miesięcznie ponad tysiąc szylingów, a tak mało tylko dlatego, że mieszka w budynku stanowiącym własność miasta. Za światła (światło, gaz, telefon) płaci miesięcznie ok. półtora tysiąca szylingów. Na szczęście przysługuje jej ulgowy bilet miesięczny na tramwaj. Płaci tylko 120 szylingów, a pojedynczy bilet dla nie upoważnionych do zniżki kosztuje teraz szylingów 15.

Znów — bez komentarza, jak wyżej.

25 V. W telewizji obejrzelśmy już dwa odcinki nowego serialu produkcji czechosłowackiej — „Kobieta za ladą”. Serial stanowi znakomitą lekcję dla naszych przedszkolaków rosnących w krzysie. Opowiadała mi znajoma, że żadną siłą nie może zapędzić swych pięć-sześciolatnich malców do łóżka, oni chcą oglądać pełne półki. Pewien znajomy Czech, który przebywa w Polsce też mi powiedział, że z przyjemnością patrzy na ten serial po raz drugi, bo dawno już nawet w Pradze nie widział tylu wspaniałości zgromadzonych pod jednym dachem. Może chciał mi zrobić przyjemność? Nie wiem, bo w Czechosłowacji prawie od dwóch lat nie byłem...

Mniejsza jednak o samo zaopatrzenie sklepu. Cokolwiek by się rzekło, faktem niepodważalnym jest, że nasi przyjaciele zza Tatr umieją robić dobre serie telewizyjne. Przewija się w nich samo życie, choć niektóre perypetie bohaterów wydają się nieco ograne. Ale może właśnie dlatego zjedną sobie widownię? Ostatecznie lubimy patrzeć na ludzi, którzy mają podobne do naszych problemy. To, co się dzieje w czechosłowackim sklepie, może zdarzyć się wszędzie. W Polsce również, choć na taką mnogość towaru musimy jeszcze co nieco poczekać. Na razie likwidujemy kartki na masło i tłuszcz. Kolejny krok w kierunku normalizacji. Niektórym nie podoba się ten spacer, woleliby aby nogi poruszały się z taką szybkością jak u sprintera. Biegliśmy tak po roku 1970, ale szybko dostaliśmy zadyszki. Mądry Polak po szkodzie...

26 V. Tym razem TWP w Chełmie zaprosiło mnie na cztery spotkania w klubach „Ruchu”. Spotkałem się tylko w dwóch klubach, bo w tzw. międzyczasie wypadł mi służbowy wyjazd do Szczecina, o czym następnym razem.

Zacznę od tego, że 24 V o godzinie 14 w słynnej restauracji w Piaskach, która oferuje jedne z najlepszych flaków w Polsce, nie było nic do picia. Poprosiłem kelnerkę o wodę z kranu i dostałem. Za moim przykładem poszli inni. Podobno „nie dowiedzieli”. Od czego jednak jest kierownik? Moim skromnym zdaniem, choć nie jestem handlowcem, można zaopatrzyć się w herbavit i produkować samemu tzw. wodę firmową. Czort bierz samą nazwę — zakrawa jednak na skandal takie ignorowanie konsumentów! Przed dwoma tygodniami podobna sytuacja była w zamojskiej „Centralce”, ale brak czegokolwiek do picia (poza herbatą) stwierdziłem tu o godz. 18.

Chodzę po Chełmie, mieście, w którym się urodziłem i w którym do uzyskania matury, czyli do 1947 roku, stałe przebywałem. Puste ulice, puste jezdnie, żadnej twarzy znajomej.

Dziwne to uczucie... Ale na przystanku komunikacji miejskiej widzę 22 numer linii. Przypominam sobie, jak przed 38 laty walczyłem na łamach „Życia Lubelskiego” o... jedną linię, o skromny autobusik, który połączyłby miasto z dworcem kolejowym.

Pierwsze spotkanie mam w Sawinie. Odbyna tu się kurs samochodowy. Po tem zjawiają się ci, których (może) interesuje moja prelekcja. Niewiele ich, zaledwie kilkunastu, wśród nich facet, który znajduje się w stanie lekkiej nieważkości...

Do Sawina mam sentyment. Kiedyś mój dziadek (z bocznej linii — mąż siostry autentycznego dziadka) Stefan Iwanowski prowadził aptekę. W tej aptece, a właściwie w mieszkaniu przy aptece, spędziłem prawie całą okupację, tutaj powstało wiele wierszy mego Ojca. Apteka jest dziś w innym miejscu, a wspomniany budynek coraz bardziej chyli się do ziemi. Zał pa-trzeż zwłaszcza na to, co pozostało po wspaniałym sadzie. Tylko lipa dalej pnie się ku niebu i grubiej jej pień, żeby chociaż ją ocalić!

Następne spotkanie w Woli Uhruskiej, nad samym Bugiem. Zaledwie kilka osób. W klubie nieczynny telewizor, a właśnie szedł serial „Kobieta za ladą”, zainteresowani oglądali go w domu. Z „Kobietą za ladą” trudno mi konkurować...

A swoją drogą ciągle się zastanawiam, co to za sens obchodzić Dni Kultury etc. w maju. Doświadczenie (wieloletnie!) uczy, że imprezy w tym czasie na ogół nie wychodzą.

W tym miejscu muszę jeszcze raz pochwalić TWP w Zamościu i jego sekretarza tow. Marka Zbikowskiego. W Zamojskie chce się jechać, bo tam zawsze jest frekwencja. Może TWP w Chełmie wymieniliby z Zamościem doświadczenia?

Jeszcze o Chełmie. W sklepach spożywczych pełno puszek z koncentratem pasty pomidorowej, której w Lublinie nie uswiadczyś. Bez trudu zaopatrzyłem się w trzy butelki wina. I to jakiego! Egri bikaver. Już chyba od trzech lat go nie kosztowałem. W klubach „Ruchu” z kolei krem do golienia „Wars”.

Po raz pierwszy wpadłem do motelu „Trzy dęby” pod Chełmem. Pepsi-cola! Słowo daję! W motelu jednak pustki. Słyszę od kelnerki, że tłoczno było wówczas, kiedy mogli meldować się tu na nocleg mieszkańcy Chełma. Teraz już nie mogą.

Nie moja sprawa, wolę nawet, że jest pusto, bo kiedyś motel może mi się przydać. Ale na logikę: czy nie lepiej gdyby była w motelu frekwencja? Ostatecznie motel leży kilka dobrych kilometrów od centrum miasta. Jeśli ktoś ma ochotę wydać pieniądze na nocleg, dlaczego mu utrudniać? Ma-luczko, a zacznijmy do motelu do-płacać.

Każdy, kto nocuje, musi wypełnić odpowiednie dokumenty. Może byłoby dobrze, gdyby władze wiedziały, kto śpi i z kim śpi? (Polecam się „Przeglądowi Tygodniowemu” do rubryki na ostatniej stronie, gdzie dawno już o mnie nie pisano. Gotów jestem zapomnieć o Takuhilcie Szirizian, którąś z redaktorów naczelnych „Przeglądu” podrywali w Warnie lat temu prawie trzydzieści...!!!)

M. A. Jaworski

KRONIKA

● Rolnictwo w Lubelskiem: pięknie kwitnie żyto, łąki wybujały, w ciągu jednego dnia skupuje się przeciętnie 821 tona i mleka, ładnie zapowiadają się truskawki. Brakuje chemikaliów do zwalczania szkodników roślin, a stonka atakuje: ziemniaki, pomidory i paprykę. Wyciągnięty wnioski z dydaktycznego wierszyka, znanego w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych: „Rano do mnie Krówka stuknęła/ Był szedł w pole, stonki szu-

kał/ Ja mu na to: idź sam w pole/ Ja tu sobie pospać wolę” (cyt. z pamięci). Oczywiście stonka ukarała śpiocha, pustosząc mu pole ziemniaczane.

● Konstytuują się władze nowego ZASP. Na warszawskiej naradzie komitetu organizacyjnego — uczestniczył w niej m.in. R. Kruczkowski, aktor Teatru im. Osterwy w Lublinie — ustalono, że zjazd związku odbędzie się na przełomie października i listopada.

● Lubelska odlewnia „Ursusa” wzroszona jest w dobrym tempie. Codziennie pracuje tu 2000 osób i wie- le wskazuje, że pierwsze elementy do ciągłałów zakład wyprodukuje jeszcze w tym roku, nieco wcześniej, niż przewidywały ostatnie plany. Jest to obiekt imponujący, pod względem kubatury i nowoczesności planujący się w światowej elicie takich fabryk.

● Byłego trenera piłkarzy „Motoru” zwolniono z BKS Stal Bielsko (II liga), bo drużynie kiepsko się wiodło w rozgrywkach. Fakt ten komentowany jest w niektórych środowiskach lubelskich z nie ukrywaną satysfakcją. Byłoby interesujące, gdyby B. Wali-góra znów kiedyś trafił nad Bysztrecę.

● 39 lat temu pod Rąblowem polscy i radzieccy partyzanci stoczyli zwycięską bitwę z niemiecką dywizją pancerną SS „Wiking”. W manifestacji, która odbyła się pod pomnikiem (aut. St. Strzyżńskiego), wzięli udział harcerze, mieszkańcy okolicznych wsi, przedstawiciele organizacji kombatanckich, społecznych i politycznych. Obecni byli dowódcy partyzantów: gen. dyw. Mieczysław Moczar i Wacław Czerwinski oraz gen. bryg. Paweł Dąbek i Jan Wyderkowski, a także inni

generałowie i przedstawiciele władz lubelskich.

● W Nałęczowie: „dni” tego uzdrowiska i kolejne muzyczne Divertimento. (Więcej na ten temat w następnym „Kamieniu”).

● W maju odbyło się w Lublinie kilka wystaw plastycznych i fotograficznych — takich sobie, jak od dłuższego czasu. Chcąc zobaczyć coś interesującego, należało wybrać się do Zamościa, gdzie w BWA otwarto (18 V) ekspozycję kilkudziesięciu rysunków i plakatów Edwarda Lutczyka, który demaskuje nasze działki przy pomocy ich własnej metody: okrutnego w efektach podglądania bachorów. Pani dyr. Grażyna Spyra (nie Zofia, jak wydrukował był kiedyś IJK w „Kamieniu” a potem w księżce, zapatrzonej widać w Zofije) obiecuje kolejne re-welacje wystawiennicze.

WŁODZIMIERZA Chelmińskiego tytułowano w środowisku lubelskim elegancko: seniorem tutejszych literatów, ale prywatnie mówiło się o nim po prostu — „dziadzio”. Ze szczególną lubością używała tego ostatniego określenia Maria Bechczyz-Rudnicka, jako że dziadzio Chelmiński był od niej starszy aż o osiem i pół miesiąca: urodził się w połowie maja 1887 r. Dziadzio kochał dobry teatr, dobre malarstwo i dobre konie; przed wojną miał w swoim majątku na Podlasiu piękną stadninę, która była jego oczkiem w głowie. Kiedy przyszła epidemia nosaczyny i konie wyzdychały, przeżył to okropnie, załamał się nerwowo. Zoną wywiozła go na dłuższą kurację do Włoch i tam dziadzio Chelmiński napisał sztukę pod tytułem „Kapitałści”.

Ow akt twórczy pozwolił mu się pozbyć psychicznie i uodpornił na dalsze liczne niepowodzenia życiowe. Znał je z prawdziwym stoicyzmem, pisząc kolejne komedie, które wciąż nie mogły dostać się na scenę, i z których — co tu ukrywać — po cichu się podśmiewano. On wierzył jednak niezachwianie, że zaświta mu w końcu raz jeszcze jutrzeńskie powodzenie. Taka sama jak w roku 1921, kiedy Juliusz Osterwa wystawił w „Reducie” debiutancką sztukę Włodzimierza Chelmińskiego, trzyaktową komedię „Wojna i miłość”. Sztuka była podobno bardzo dobra, ale spartolił ją początkujący reżyser, próbując odczytać dziełko na sposób „nowoczesny” i „niekonwencjonalny”. Po latach któryś z historyków teatru, pisząc książkę o „Reducie”, wspominał również o Chelmińskim i jego „Wojnie i miłości”, konstatając, że oddano reżyserię w nieodpowiednie ręce i „zmarnowano autentyczny talent”. Dziadzio na starość często przytaczał tę opinię, delectując się z masochistycznym niemal rozkoszą owymi kilkoma zdaniem na temat swej niezawinionej kleski.

Jako człowiek od lat najmłodszych związany z ziemią, z przyrodą, Włodzimierz Chelmiński zachował na zawsze szczerotę spojrzenia, prostoduszność i otwartość mieszkańca wsi. Wiodło to czasami do zupełnie nieprawdopodobnych sytuacji czy wręcz towarzyskich skandali. Jednym z takich właśnie skandali zakończył się wieczór wspomnień teatralnych, który prowadziła w lubelskim klubie środowisk twórczych „Nora” znana aktorka Teatru im. Osterwy, Eleonora Frenkiel-Ossowska. „Pani Ela” reprezentowała już w owych czasach typ i posturę arystokratki szlacheckiej sztuki teatru, księżnej sceny i widowni, matrony a zarazem społecznej aktywistki w wieku przedmerytalnym. Tamten pamiętny wieczór w „Norze” prowadziła z godnością i łaskawością królowej Elżbiety angielskiej. Był to popis sztuki aktorskiej w najlepszym „szekspirowskim” stylu.

Nieszczęście chciało, że jako pierwszy w dyskusji postanowił zabrać głos pan Chelmiński. Dziadzio znajdował się akurat w nastroju, rzec by można, metafizycznym, myśli jego krążyły gdzieś w rejonach tajemnicy bytu, spraw ostatecznych, zagadnień życia i śmierci... Zaczął więc w sposób następujący:

— Droogaaa paani Eleonoooooooroo! Tak pani pięknie prowadzi ten wieczór wspomnień, że z prawdziwą łzą w oku wracam do tych niebotycznie odległych czasów, kiedy oboje byliśmy młodzieńcami...

— No, wie pan — przerwała mu dotknięta do żywego Eleonora Frenkiel-Ossowska — może to pańska młodość znajduje się w tej jakiejś niebotycznej dali... Ja, na przykład, nie czuję się jeszcze, hm, hm, taka młoda stara...

— Paani Eleonoro! — zareplikował dziadzio z francuska słodczyca. — Pokory nam już się trzeba uczyć, wobec siebie i innych! Bo stary, stary już jesteśmy oboje! Na drugi brzeg Styksu przyjdzie nam wkrótce przepłynąć łódka Charona... Gdzieś nam do młodych, gdzieś nam do życia...

— Pan, panie Włodzimierzu, chciałby może mnie już widzieć w grobie! — zaczęła prawie krzyknąć Ossowska. — Ja sobie wypraszam! To nie jest dyskusja! To jest próba wprowadzenia nastroju Zadzuszek do naszego towarzyskiego spotkania!!!

Na sali zrobił się tumult i zamieszanie. Ale ponad to wszystko wybił się zachwycony głos dziadzia Chelmińskiego, który wołał w uniesieniu:

— Stary jesteśmy! Do grobu! Do ziemi, do ziemi!!!

*

Dziadzio miał życzliwy stosunek do młodzieży artystycznej wszelkiego autoramentu ale szczególnie preferował, ma się rozumieć, młodych adeptów pióra. Podkpiwano z niego, ale nigdy w sposób złośliwy, bo choć z upływem lat robił się coraz bardziej safandulowaty, rozbrajał swoją serdecznością i swym ciepłym podejściem do świata. Nie był też przesadnie gadatliwy. Na spotkaniach z młodymi poetami czy

prozaikami niby zabierał głos, lecz zaznaczał przy tym zaraz na wstępie: — Pooczwoicie, i mnie, staremu, wypowiedzieć się. Dziesięć minut, z zegarkiem w ręku.

Po czym wyjmował z kieszeni kamizelki ogromny srebrny zegarek, kładł go przed sobą na stoliku i... nie zdarzyło się, żeby przekroczył ustalony czas.

Dziadzio Chelmiński wierzył święcie, że akt prawdziwie twórczy może zaistnieć tylko wówczas, gdy psyche będzie miała swój odpowiednik w somie. To znaczy: tak zwana wena twórcza objawia się tylko wtedy, gdy artyście towarzyszy zarazem wena, hm, fizyczna. Ergo: u kogo

dobra, ale, zdaje się, zubożała i pewnie dlatego nie kierowano go na przyszłego rolnika, lecz na handlowca. Na początku stulecia Włodzimierz Chelmiński ukończył w Warszawie handlową szkołę Rontalera, a następnie, w 1907 r., wybrał się na studia w Akademii Handlowej w Lipsku. Jednak po roku czmychnął z Lipska do Genewy, gdzie na tamtejszym uniwersytecie został słuchaczem Faculté des lettres. Potem, od 1910 r., studiował przez kilka lat polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim pod okiem prof. Chrzanowskiego. Z Krakowa w 1913 r. poniosło go do Paryża, a gdy wrócił stamtąd do kraju, wybuchła I wojna światowa i dziadzio, w szeregach armii ro-

Jak się już rzekło, „nie miał fartu” pan Chelmiński do sceny. Napisaną we Włoszech komedię „Kapitałści” zakwalifikowano w 1938 r. do wystawienia w Teatrze Narodowym w Warszawie; miał ją w sezonie 1939/40 reżyserować Andrzej Cwojdzkiński. No, ale wybuchła wojna, a na dodatek jedyny egzemplarz gdzieś zaginął, i dziadzio już po wyzwoleniu musiał odtwarzać całą czteroktówką sztukę z pamięci. Taką tylko miał z tego satysfakcję, że fragmenty „Kapitałści” opublikowała w 1957 r. „Kamena”. Podobnie — jak w kilka lat później — „Kamena” drukowała fragment kolejnej komedii Chelmińskiego, pięcioktówkę „Portretu”. Była to rzecz osnuta na tle życia zna-

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (8)

Psyche i soma

Mirosław Derecki

kiepsko z potencją, ten nie ma co marzyć o sukcesach artystycznych. Zapewniał też rozmówcę konfidencjonalnie, że jeśli chodzi o niego samego w tym względzie, to: ho! ho!!!

Mieszkał pan Włodzimierz wraz z żoną Wandą, podobno uzdolnioną malarzką-pejzażystką, w kamienicy przy ulicy Nowej, o kilkanaście metrów od Bramy Krakowskiej. Zajmowali jeden pokój w obrębie obszernej, zasiedlonej kilkoma rodzinami mieszkaniami. Pokój ten — z oknami wychodzącymi na ul. Nową — miał chyba ze trzydzieści metrów kwadratowych, ale nie sprawiał wrażenia wielkiego. Zapchany był bowiem dokładnie meblami, przed którymi miłośnik antyków wpadłby w stan uniesienia. Stały tam pod ścianami piękne czerstowe sekretarzyki i gruszkowe biblioteczki, wypiętrzała się fineryjnymi łukami oparcia simmlerowska kanapa w otoczeniu foteli i fotelików, ciągnęły oko serwantki, stoliki do kart, jednoróżne gueridony, pięknie intarsjowany stolik do ręcznych robótek... A nad tym wszystkim, na ścianach pod samym sufitem, wisiały pociemniałe portrety antenatów Włodzimierza Chelmińskiego. To była tylko niewielka część ruchomego dobytku, jaki udało się Chelmińskim uratować z pozołgi wojennej. Reszta spłonęła w czasie powstania, w warszawskim mieszkaniu, do którego przenieśli się większość mebli i zbiorów malarzkich z majątku na Podlasiu w obawie przed zbliżającym się frontem.

Dziadzio odnosił się do burz i nawałnic, jakie wstrząsały jego życiem, w sposób filozoficzny. To znaczy — z pełną wyrozumiałością. Jako rolnik-praktyk, jeszcze przez wiele lat po wojnie pracował „bliiskoziemi”, będąc inspektorem w górcańskim przedsiębiorstwie hodowli nasion. Jako artysta — śledził nad kolejnymi komediami; a cóż mogą obchodzić artystę — przynajmniej w dziewiętnastowiecznym rozumieniu tego słowa — niedogodności codziennego bytowania? Mówiąc szczerze, państwo Chelmiccy na starość przedli — pod względem finansowym — niezwykle cienko, ale znośli to mężnie i z wielką godnością. Poza tym — on pisał, ona malowała. Sztuka pozwalała im zachować pogodę ducha i dawała komfort psychiczny.

*

Kiedy go poznałem, Włodzimierz Chelmiński miał już dawno za sobą życiowy „Sturm und Drang periode” i nie odróżniał się od wielu innych starszaków-inteligentów paradyjących latem w białych furazerkach i inianych przydługich szortach po alejkach należycowskiego parku. (Mieszkał zwykle w przylegającej do Nałęczowa Bochońnicy, „u chłopu”, bo tak było taniej). Nikt by w nim nie odgadł niesfornego niegdysiejszego studenta czy dzielnego żołnierza uhonorowanego najwyższym rosyjskim odznaczeniem bojowym, człowieka, który słyszał na własne uszy wystrzały z dział „Aurory” i zgiełk bitewny towarzyszący zdobywaniu Pałacu Zimowego...

Urodził się na Podlasiu, w Starej Wsi w powiecie radzyńskim. Rodzina była

sijskiej, trafił na front w randze szeregowca. Był ranny w walkach pod Stochodem i tam właśnie, „za chwałę”, odznaczono go Krzyżem Św. Jerzego. Ten prosty w rysunku krzyż, zawieszony na pomarańczowo-czarnej wstążeczce, nadawany za szczególne męstwo na polu bitwy, był powodem do prawdziwej dumy, jego posiadacze cieszyli się ogromnym szacunkiem, nawet w czasach późniejszych, gdy upadł carat, przyszyły nowe czasy i odznaczenia, i gdy stał się on już tylko tzw. „reliktem przeszłości”.

Po odbyciu rekonwalescencji Włodzimierz Chelmiński nie wrócił już na front. Dostał się do wojskowej szkoły inżynierskiej w Petersburgu. Tam zastała go Rewolucja Październikowa. Kiedy pytaliśmy go czasem podchwytliwie, czy brał udział w szturmie na Pałac Zimowy, dziadzio udzielał odpowiedzi wymijających...

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Chelmiński znalazł się w Warszawie, tam poznał swoją przyszłą żonę i tam się ożenił. Zadebiutował jako pisarz dramatyczny w wieku 34 lat. Czy przedtem coś już pisał, czy też „Wojna i miłość” była jego pierwszym pisarskim doświadczeniem, nie wiadomo. Debiut był późny, ale za to autor miał „dobre wejście”: sztuka Włodzimierza Chelmińskiego była zostą z kolei premierą „Reduty”, po pokazanych na scenie utworach Zeromskiego, Rittnera, Szaniawskiego, Zablockiego i Orkana. Grano także „Wojnę i miłość” w teatrze dramatycznym we Lwowie. Potem już więcej nie była wystawiana, a maszynopis od wielu lat uważano za zaginiony. Dopiero ostatnio, podobno, natknął się nań profesor Uniwersytetu Śląskiego, były lublinianin, współpracownik „Kamena” oraz długoletni dyrektor Muzeum im. Bolesława Prusa w Nałęczowie — Tadeusz Klak. Odnalazł „Wojnę i miłość” w bibliotece-archiwum teatru dramatycznego w Katowicach.

Wanda Chelmińska była panną posażną. M.in. wspólnie z siostrą, Zofią Arkuszewską, posiadała podwarszawski majątek Krubki, położony między Miłosną i Wołominem. Te same Krubki, w których w ostatnich dniach września 1939 r. stanął ze swym oddziałem major „Hubal” idący na odsiecz Warszawie. Piaszczyste, porośnię lasami okolice sprawiły, że przez całą okupację Niemcy zgładzali rzadko na to „bezdudzic” i właśnie dlatego w starym, nie istniejącym już dzisiaj dworze z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, położonym w pięknym parku projektowanym niegdys przez Szucha, znajdował w latach wojny schronienie Berni przedstawiciele polskiej inteligencji. M.in. właśnie tutaj ukrywał się w 1943 r. Jerzy Zawieyski i tutaj napisał swoją powieść „Droga do domu”. Pisze obszernie o tym, i o innych wydarzeniach, współczesny krytyk literacki Tadeusz Drewnowski w swej wspomnieniowej, wydanej w 1982 r., książce „Tyle hałasu o nic”.

Musiał i pan Chelmiński bywać podczas okupacji niejednokrotnie w Krubkach i kontaktować się z tamtejszymi „wojennymi” rezydentami...

nej malarki Olgi Boznańskiej („Portret” poszedł „na fonii”, w lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia w 1962 r.). Dziadzio „nosił się” z tą sztuką długo, i gdy tylko kogoś dopadł, deklamował mu całe obszerne partie tekstu. Dlatego w owym okresie znajomi stawali się mu usuwać z drogi... Niestety, nie dokonała tego pani mgr Krystyna Podstawkova z Muzeum Lubelskiego, którą — wraz z koleżanką — przydybał dziadzio Chelmiński na ławce w Ogródzie Saskim. Spacerowicze przystawali i spoglądali podejrzliwie na dość dziwną trzyosobową grupę: stary człowiek o szlachetnej posturze stał przed dwiema młodymi kobietami i celując w nie trzęsącym się palcem, wołał „oskarżycielsko”:

— To wyl! To wyście go zabilili!

Dopiero w 1962 r. — czterdzieści lat po teatralnym debiucie — ponownie uśmiechnęło się szczęście do pana Chelmińskiego: 24 czerwca odbyła się w działającej przy Teatrze im. Osterwy scenie „Reduta 61” premiera jego jednoaktówki „Wróg w domu”. Była to czwarta premiera na niedawno powstałej scenie: po sztukach Sławomira Mrożka, Haliny Auderskiej i Zbigniewa Herberta.

Umarł Włodzimierz Chelmiński w sześć lat później, 8 września 1968 r., na rodzinnym Podlasiu, w... szpitalu w Łukowie. Gdzie go odesłano — jak się to mówi nieoficjalnie — „na wymarcie”, gdy stan starego człowieka nie rokował już żadnych nadziei, ale duch mimo wszystko wciąż krzepko trzymał się ciała, czyli somy, i pan Chelmiński blokował w ten sposób łóżko w lubelskiej klinice dla innych, rokujących nadzieję wyleczenia... Cóż, takie jest życie.

Pozostały jeszcze po stoiku z Podlasia dwie inne komedie: „Twarz i maska” oraz „Dolary”. A także — maszynopis książki „Ludzie i zwierzęta” (napisanych w ostatnich latach życia opowiadań-wspomnień), odrzuconej przez wydawnictwo jako nie nadającej się do publikacji.

Mnie zaś pozostała po Włodzimierzu Chelmińskim jedna stara książka: grubo, pożółkły tom w półkórku, zatytułowany „Manuel de Littérature Française”. Podręcznik literatury francuskiej, opracowany przez prof. Charlesa Floetza, a wydany przez Herbiga w Berlinie w roku 1894. Dom wydawniczy i księgarnia Herbiga miały swoje zagraniczne przedstawicielstwo m.in. w Genewie. I czasami myślę, że może książkę tę kupił dziadzio Chelmiński właśnie w Genewie, gdy studiował na Faculté des lettres, kiedy spłynęło nań uczucie Łaski, i porzuciwszy Merkurego, postanowił złożyć swe życie u stóp Melpomeny.

Książka w strefie ubóstwa

ISTNIEJE w Polsce około 3700 bibliotek zakładowych, dysponujących zbiorem książek liczącym prawie 15 mln egzemplarzy i już tylko te dwie liczby dowodzą, że placówki owe stanowią (czy też powinny stanowić) ważne ogniwo w całym systemie bibliotek i czytelnictwa powszechnego. Dane te można wesprzeć dodatkowo ważnym, politycznie mocnym hasłem: książka bliżej robotnika.

Hasło jest mocne, ale biblioteki zakładowe są słabe, poza zamierającą siecią czytelnictwa na wsi, stanowiąc w systemie czytelnictwa bibliotecznego, a ich dzieje dobrze ilustrują trudności i nielaski, w jakie popadła kultura w ogóle, a książka w szczególności.

Trochę przeszłości: biblioteki te powstały w pierwszych latach powojnia, a ich organizacją zajmowały się związki zawodowe. Tak było do 1955 roku. Uchwała Prezydium Rządu z 2 grudnia 1955 roku zdjęła ze związków zawodowych obowiązki świadczeń materialnych w zakresie rozbudowy placówek kultury, w tym głównie bibliotek, chociaż władze związkowe nadal jeszcze zobowiązywały rady zakładowe do wspomaganie działalności merytorycznej takich placówek. Od tego czasu biblioteki stawały się zupełnie nieważnymi ogniwami tej działalności i zaczęły bardzo odczuwać przeróżne „zakręty” polityczno-gospodarcze kraju.

Ilustrują to dane: w 1948 roku było 7000 bibliotek związkowych, w 1956 r. — już tylko 4900, rok później — zaledwie 3000. Po 19 latach, w 1975 r., liczba ich wzrosła do 5220, ale w kryzysie 1980 r. spadła do 3700. Źródłem utrzymania bibliotek stały się wówczas fundusze socjalne zaliczone do „Solidarności” jak też związki branżowe miały wówczas trochę ważniejsze sprawy do załatwienia. Malo nie tylko czytelnictwo, czy dopływ nowych książek; znikły całe biblioteki, a drastycznym przykładem jest pod tym względem województwo katowickie, gdzie liczba bibliotek zakładowych spadła z 453 (wg danych byłej WRZZ z 1988 roku) do 211.

W ciągu dwóch lat ostatnich nie się nie zmieniło na lepsze, przeciwnie — biblioteki pozostały placówkami praktycznie bezpańskimi, całkowicie zawiśniętymi od dobrej czy złej (a raczej nijakiej) woli kierownictwa zakładów

pracy. Przy ogólnym kryzysie poligrafii i książek, spada liczba zakupów; tzw. priorytet bibliotek przy zakupach nowości był i pozostał fikcją. Z szacunkowych wyliczeń wynika, że fundusze na zakupy nowych książek zmalały w skali kraju o 50 proc., do czego trzeba przecież dodać jeszcze przeciętnie podwojoną cenę książki. W rezultacie szacuje się, że fundusze spadły do 25 proc. tego, co biblioteki zakładowe otrzymywały w 1979 roku.

Znamienny jest przede wszystkim sam fakt, że przy próbach statystycznej oceny sytuacji bibliotek zakładowych trzeba przestawać często na określeniach w rodzaju: około, szacuje się itp. Otóż sam status prawny tych placówek jest taki, że nikt nie czuje się nawet zobowiązany do przestania informacji o sytuacji biblioteki w fabryce, przedsiębiorstwie, instytucji. Biblioteki zakładowe nie są objęte oficjalną statystyką — nie rejestrują ich urzędy statystyczne, i wszystko, co o nich wiadomości może biblioteka wojewódzka w danym województwie, sprawująca nad nimi nadzór merytoryczny, stanowi obraz wycinkowy. Tak jest np. w samej stolicy. Biblioteka Publiczna w Warszawie ma na terenie swojego działania 297 bibliotek zakładowych, 210 punktów bibliotecznych i 11 bibliotek w zakładach leczniczym zamkniętym — ale tylko o 97 z nich wie coś konkretnego, bo zaledwie tyle placówek zdołał odwiedzić jej inspektorzy w 1982 roku. Z tych 97 aż 18 po prostu przestało istnieć, nie ma ich! A te z tej grupy „anonimowych” bibliotek zakładowych i punktów bibliotecznych faktycznie działa, tego nikt nie wie, i nie będzie wiedział.

Do kiedy? Odpowiedź bibliotekarzy jest jednoznaczna: biblioteki zakładowe będą umierać i wegetować dopóty, dopóki ustawowo nie sprecyzuje się ich statusu, zasad działalności, obowiązków zakładów pracy wobec nich oraz zasad nadzoru merytorycznego sprawowanego przez wojewódzkie biblioteki publiczne. Wymienione tu warunki obracają się, jak dotąd, w kręgu postulatów, włącznie z opieką merytoryczną, rzekomo sprawowaną już przez placówki wojewódzkie. Cóż to bowiem za opieka, skoro tzw. pomoc instruktażowo-merytoryczna sprowadza się przeważnie do nasłuchiwanie — czy biblioteka jeszcze istnieje? — skoro nie można udzielić jej pomocy w uzupełnieniu księgozbioru i nie ma się żadnego wpływu na obsadę kadrową...

W staraniach o uporządkowanie sytuacji bibliotek zakładowych, o ich

istnienie w ogóle, pierwszym pociągnięciem powinno być ściśle określenie obowiązków zakładów pracy wobec biblioteki (zapewnienie lokalu, wyposażenia w sprzęt i środki na świadczenia komunalne oraz finansowanie zakupów do księgozbioru). Delikatną jest sprawa kadry bibliotek. Przy niskich placach bibliotekarzy i nikłej randze tej pracy traktuje się ją jako zesłanie, boczny tor w zakładzie. Dobrze, jeśli jest to duży zakład pracy, a więc i biblioteka większa, z jednym lub dwoma etatami. Gorzej i najgorzej jest z małymi placówkami, gdzie pracownik „wisi” na innej liście płac, na ryczałcie, na pół- czy ćwierćetacie, lub też w ogóle społecznie „wydaje” książki. W województwie lubelskim, gdzie działa 37 bibliotek zakładowych (12 rozliczało się w ostatnich dwóch latach), na 52 bibliotekarzy tylko 33 ma pełne etaty bibliotekarzy; 13 jest na ryczałtach, sześciu to pracownicy kulturalno-oświatowi „wydający” książki. Jak np. może wyglądać praca biblioteki w Zakładach Przemysłu Skórzanego, skoro „obsługuje” ją kierownik zakładowego radiowęzła?

Pośród trosk o znalezienie człowieka i etatu, na daleki plan schodzi sprawa kwalifikacji. Wykształcenie ogólne, w ogromnej przewadze średnie, nie jest wystarczające. Wykształcenie wyższe także nie czyni człowieka w pełni kwalifikowanym bibliotekarzem. Potrzebne jest dokształcenie specjalistyczne. Prowadzą je, a raczej starają się prowadzić, biblioteki wojewódzkie, lecz absencja na tych dość systematycznie prowadzonych szkoleniach jest żenująco wysoka, przy czym placówka wojewódzka nie dysponuje żadnymi sankcjami.

Istnieje ponadto ogromna rozpiętość w wielkości księgozbiorów zakładowych, rytmie ich pracy, liczbie wypożyczeń, liczbie czytelników, w warunkach lokalowych itp. Biblioteki małe, słabe, źle lub od niechcenia prowadzone — po prostu uległy samolikwidacji lub przerwały działalność na wiele miesięcy. Biblioteki duże, o dziesiątkach tysięcy woluminów, dobrze prowadzone, nie poddały się kryzysowi.

Ostra korekta sieci placówek zakładowych to jeden z głównych postulatów bibliotek wojewódzkich. Tak się nierzadko składa, że dwie biblioteki zakładowe znajdują się zbyt blisko sie-

bie, podczas gdy inne enklawy miast czy osiedla są pozbawione biblioteki. Tak jest np. z kłębami naraz placówkami w Lublinie: biblioteką Cukrowni, Fabryki Wąg i filią WBP nr 5, czy też biblioteką kolejarzy i filią Miejskiej Biblioteki w Dęblinie, odległym od siebie o 200 m. Praktyka dowodzi, że nie jest uzasadnione utrzymywanie placówki bibliotecznego w zakładzie zatrudniającym mniej niż 1000 osób, gdzie zaledwie kilkadziesiąt osób można zaliczyć do stałych czytelników.

Propozycje korekt, sporządzone przez biblioteki wojewódzkie i uwzględniające wymienione okoliczności już od kilku lat czekają na realizację, nadal więc trwa fikcja liczb i wegetacja „bibliotek” w niczym nie zasługujących na tę nazwę.

Do liczby niedostatków bibliotek zakładowych można jeszcze dorzucić szereg innych, wśród których warunki lokalowe i stan wyposażenia stanowią bolączkę powszechną, odstręczającą od pracy w bibliotece, a czytelników od jej odwiedzania.

Zycie bibliotek, życie książki w świadomości społecznej to nadzwyczajnie czule miejsce w obszarze potrzeb duchowych społeczeństwa, a zwłaszcza środowisk robotniczych. Jeżeli pozostawimy będziemy książki w strefie jej ubóstwa materialnego, to będzie oznaczało, że świadomie godzimy się na poszerzenie społecznej strefy ubóstwa duchowego. Katastrofalnie np. spada czytelnictwo książek w bibliotekach wiejskich — bo katastrofalna jest sytuacja tych wiejskich „placówek” i ona właśnie utrudnia, wręcz uniemożliwia dostęp do książki prawie połowie społeczeństwa, jaką stanowi wieś — prowincja, w ponurym znaczeniu tego słowa. Właśnie na wsi, gdzie książka powinna być najbardziej dostępnym dobrem kultury, notuje się gwałtowny spadek czytelnictwa. Gdy w skali województwa lubelskiego ogólnie wzrosło ono w ubiegłym roku (w stosunku do poprzedniego) o 1913 czytelników i o 97,5 tys. wypożyczeń, to w tym samym okresie liczba czytelników na wsi spadła o 3980 osób, a liczba wypożyczeń książek o 48,3 tys.

Regres ten na szczęście nie oznacza, że wieś ucieka od książki. Dzieje się odwrotnie. Opłakana sytuacja lokalowa i kadrowa wiejskich bibliotek, a także znikoma ilość nowości docierających do tych placówek sprawiają w sumie, że to właśnie książka oddala się gwałtownie od czytelnika wiejskiego.

Nie będzie więc żadną przesadą przeniesienie pojęcia „strefy ubóstwa” ze znaczenia społeczno-gospodarczego, materialnego, na dziedzinę życia duchowego, kulturowego. Strefa tego ubóstwa poszerza się nie tylko za sprawą książki, odrywania jej od społeczności robotniczej i wiejskiej. To również rezultat materialnego kryzysu innych nośników kultury. I wszystkim tym, którzy w materialnym kryzysie książki chcą widzieć synonim ogólnego kryzysu kultury typu humanistycznego oraz kryzysu „tradycyjnych form” popularyzacji tej kultury — trzeba pokazywać warunki, w jakich znajduje się m.in. wiejski punkt biblioteczny czy biblioteka w fabryce.

Henryk Pająk

MATURY

IX LO w Lublinie

w obiektywie

Waldemara Stepnia



WSZYSTKIE pokoje nauczycielskie mają ten sam zapach. Czy dyrektor taleruje rozstrząsanie popiołu po zielonym suknie, czy szklanki z nie dopitą herbatą wstawia do kosza na śmieci, nauczycielskie przerwy upływają w atmosferze obozowiska w podrzędnej poczekalni. Nerwowy wypoczynek mieści się w konwencji tymczasowości, właściwej szkole mimo jej najważniejszych aspiracji.

— Ta cały nasz raj — powiedziała znużona nauczycielka i nie dała się nabrać na rozmowę o dniu dziecka, równie odstającym od życia, jak żurnal miod od sklepu w kryzysie. Po paru lekcjach, a zwłaszcza przerwach, zamiennianych w karnawał małego rozumu — dzień dziecka można mieć za dzień potwora. Rozszalałe mózdziki nie przejmują się nawet zepchnięciem nauczycielki ze schodów.

— Ostatnio uczeń rzucił się z pięściami do pani, narwiśko nieważne. Dyrektor zbagatelizował, żeby nie hamować harmonijnego rozwoju dziecka — zakończyła nauczycielka.

Pedagog o twarzy beznamiętnej, jak życie stawonoga, stłumił uśmiech.

— Piętro wyżej jest lepiej, można do celu rzucić cyrkiem w nauczycielski tyłek — parsknął, jakby zobaczył ciało pedagogiczne ugodzone w miękkie.

Piętro wyżej już nie podstawówka. Zastaly zapach kurzu i ciapów wprowadzie ten sam, jednak halas jakby bardziej nobliwy.

Cyrkiłowka, czyli autorka celnego ciosu w nauczycielski tyłek, podpierana ścianą z wyrazem znużenia.

— Do mówienia nic nie mam — stwierdziła i zaczęła patrzeć w bok. Ręce w kieszeniach, uśmiech smutno zażenowany. — Głupio wyszło — dorzuciła po namyśle.

Jak wiadomo, uczeń zmuszany do odpowiedzi cedzi słowa. Każdy, kto przez chwilę był uczniem, pamięta zresztą instynkt samozachowawczy wobec pewnych pytań poprzedzających bezwzględność szkoły, ociekającej krokodylimi łzami. Niech więc sobie Cyrkiłowka milczy — pomyślałam, choć szkoła znowu stała się dla mnie molochem ulizanym na okoliczność akademii, nieobliczalnym w chwilach instytucjonalnej nieuwagi.

Przed głównym wejściem uczennice wariowały z cielecym wdziękiem. Kolczyki migotały im w międzyseptach, w rytmie podrzucanych włosów... Szaleństwo niefrasobliwego czasu wołało o pomstę do nieba.

Dziewczyna zwana Glistą uderzała dłońmi o uda, naśladowując nauczyciela zwanego Czkawką. Z daleka trudno było uchwycić sens przedstawienia, niemniej okrzyki: ale porno! wyrażały zachwyt. Dystans, który zał pokonać, żeby nie zepsuć komuś zabawy, najprościej uprzytomnia ciężar gatunkowy lat, choćby nie wiem jak bezmyślnie noszonych na grzbiecie.

— Skonam! — już co innego opowiadała Glista. — Minę miał jak na budyniu! A Anka jeszcze mówi: kupujesz piłeczkę ping-pongową? To on: za ile? A Anka: za chwilę. — I znowu zbyt radosny śmiech pelen poszturchiwań.

Wreszcie zastoniłam im słońce. Spowaźniały jak przed katechetyką. Zrobili miejsce i uściśliły, że Czkawka to pan od matematyki, który zarobił cyrkiem od Ludwika.

Jeszcze ciepłe praktyki pedagogiczne Czkawki były oceniane z sentymentem zjazdu absolwentów. Śmieszny i wymagający — owszem. Koszmar — jak dla kogo. Nudny — w żadnym wypadku. Jednym z jego pomysłów jest jednocześnie odpytywanie dwu uczniów: ten rozwiązuje zadanie na tablicy, a drugi dzwoni na błędy. Dzwoneczkiem, oczywiście. Na klasówkach par: Czkawka niespodziewanie szursz krzesłem i patrzy, kto wykonuje zbyt gwałtowne ruchy. Tego wyganiania za drzwi. Robi też pięciominutowe kartkówki. Dwójce soli tym, co nie zdążyli napisać, albo źle zaczęli. Dwójkarze nie mają prawa głosu na lekcji.

— Ale na wszystko znajdzie się sposób — po-

gardliwie uśmiechnęła się panna z warkoczem w niemodną pytkę. — Kiedy ktoś od tablicy daje znaki, żeby mu podpowiedzieć, Czkawka się obraca, bo nie słyszy skrzyknięcia kredy. To jasne, że potem człowiek odwraca się, smarując kredą po ramie tablicy. A ściągę można podać pod tablicę choćby na drucie — powiedziała autorytatywnie i wyduła wargi oraz biust. — Podpadnięty jest niestety splajszony u Czkawki na naleśnik, na przykład Ludwika — dorzuciła.

— Pamiętasz, jak wygonił ją za drzwi, a ona powiedziała, że przyszła do szkoły się uczyć, a nie stać za drzwiami? — przypomniała koleżance inna, z kolczykami w kształcie pazurków.

— To wreszcie Czkawka dał Ludwice na przerwę opiekunkę — najważniejsze powiedziała Glista — taką Wandę. Podpadnięty musi robić wszystko, co opiekun mu każe, a opiekunowi wolno nawet

nający się pod górę bruk. Dalej był tylko kościół i przystanek autobusowy obsługiwany przez najkulturalniejszą firmę przewozów pasażerskich w kraju, „Transped”. Matka Ludwika miała powiedzieć coś jeszcze, gdy niespodziewanie obróciła głowę i jak to robią wróble — zatrzymała ją w bezruchu na sztywnej szyi.

— A ty co tu... robisz — dodała po namyśle, po czym gładko dokonała prezentacji. Brat Ludwika jechał do miasta po przekładnię. Kobieta wzruszyła ramionami, dając synowi okazję do śmiechu, dźwięczącego jakby jego gardło było dla głosu najprzytulniejszym miejscem na świecie. Zrobiło się zupełnie nie o propos dwoj i cyrki. Wreszcie przyjechał autobus; roztepany, zakurzony, ale z konduktorem nie gorszym od szwajcara w luksusowym hotelu.

— Ach, siostrunia... — westchnął brat Ludwika,

Pozegnanie dzieciństwa

Anna Bocian

skarżyć.

— Tylko, że one od podstawówki się nie lubiły, Wanda z Ludwiką — zamrugła bladymi rzęsami wciśnięta między koleżanki dziewczyna.

— Czkawka mógł nie wiedzieć!

— Ale z opiekunami przesada — odparowała bladorzęsa.

— Dostyć, że Wanda przysłała się do Ludwika — zakończyła spór Glista. — Od czego Ludce dwoj nie ubyło, a życia już naprawdę nie miała. Dobrze, że chociaż dojeżdżał.

— Po lekcjach Wanda nie ma do niej prawa — uściśliła ta uczesana w pytkę, co wzbudziło śmiechek, jakim w wojsku kwituje się niekwestionowaną przewagą kaprala.

Tematem rozmowy matka Ludwika była rozważona w sposób, który w każdej chwili mógł za barwić się troską. Jej dom we wsi równie dobrze mógł wypuszczać zawziętych drwali jak i łagodne brojlery, które w podróży posłubnej strzelają sobie w łeb na plaży. Z werandy widać było pergole. Nad kanapą wisiał obraz przedstawiający konia z ogromnym świetlistym zadem i ciemną głową zwróconą ku roziskrzonemu ogonowi.

— Wstyd mi za nią — powiedziała kobieta. — W końcu dziewczyna.

Rozmowa nie kleiła się. Kiedy na dziennikarza przychodzi dzień pozbawiony gangsterskich racji, folguje wszystkim czułym drgnieniom cudzej duszy. Ale bardzo możliwe, że swoją rolę spełnił tu lekceważąco wypięty koński zad. Nagle przestałam mieć interes, żeby wiedzieć. Nic o domowych staraniach z samowolnym dzieckiem, ani o tym, z jak wysoką stąpą na ziemię matka Ludwika. Ale spacer, owszem.

Kilkanaście kilometrów za miastem w którym życie jest jedną wielką fatygą pozbawioną przyjemności, niezobowiązująco pachniało wiosną. Matka Ludwika, przytrzymując na ramionach sweter, pokazywała kamieniołom, w którym córka zajmowała się ryzykownym ryciem jam, mimo bluzek z żabotami i pouczeń. Poobijane nogi i rozczochrane włosy — ach, jak trudno zapleść je w koronę! — ciągle świadczyły na niekorzyść Ludwika.

I jeszcze ten motorower, który wydziera sobie z chłopakami po sąsiedzku. Nie jej przecież — wyjaśniła, żeby nie było wątpliwości.

— Też chodziłam do szkoły — zauważyła, zrywając wybujałą trawę. — Ich Czkawka to dobry egzemplarz, ale Ludwika głąb i już. Matematyka i ona! Wyrzucamy pieniądze na korepetycje, bo repetowała. Tylko co z tego będzie?

Spacer zakończył się obok Punktu Unasienniania Zwierząt, gdzie droga przechodziła w lekko wspi-

podrzucany na wybojach drogi. — Mamuska chce mieć panienkę z dobrego domu. Słodką idiotkę. Bóg da i siostra zgłupieje. Na razie mi jej szkoda. Od dzieciństwa sama; nie przypasowana ani do braci, ani do kaprysów mamuski. — Spomiędzy pasażerów wysunął się konduktor, zagadując i trzaskając dziurkaczem. — Przecież to normalne, że po powrocie ze szkoły i dziewczynka chce polatać — ciągnął brat Ludwika. — A matka zaraz, że chamięje. Ze się do lekcji nie przykłada. Do czego to podobne, żeby dziewczynka... Sama matka wcisnęła Ludwice kompleksy. To nie Ludwika wina, że za późno siadała do lekcji. Zresztą... — machnął ręką. — Ludwika pasjonowała się astronomią. Sam bym nie doczytał się tego, co ona wiedziała. Robiła katalogi roślin, hodowała jakieś swoje eksperymenty. Jak dziecko.

Autobus zatrzymał się na przejeździe kolejowym, dając pasażerom portrecik dróżnika smarkającego w dwa palce. — A to dopiero — ucieszył się brat Ludwika, jakby dróżnik polachotał śmiech w jego gardle. — Kiedy tylko jestem w domu, mówię Ludwice, żeby nie wierzyła w swoje osławione matolstwo. Jeżeli to zrozumie, da już sobie radę. Na razie zaledwie to do niej dotarło. Ale ona przecież dojeżdża. Wpada i wypada ze szkoły. Zupełnie tam do nich nie pasuje, chociaż stara się nie odstawać. Nagrywa na taśmy jakieś „Perfekty”, „Republiki”, „Manamy”... Wczoraj tłumaczyła mi, czym różni się heavy metal rock od hard rocka — znowu zaśmiał się i zanucił fragment piosenki „Zegnaj Ewka”. — Po koncertach „Perfektu” Presley przewraca się w grobie z zazdrości, może nie? Zegnaj was, nie spotkamy się... — zanucił znowu, a melodia przeszła w ten jego śmiech człowieka, który na nic nie musi narzekać. — Co chciałem jeszcze? — zastanowił się chwilę. — No, Ludwika lubi lody — poradził.

Od rana w mieście padało. Ludwika przybiegła do kawiarni w białym worku foliowym z rozciągniętymi uszami, wciśniętym na głowę bez wątpliwości, czy jest dosyć twarzowy. W szatni zdjęła go jak kobiety zwykły składać parasolkę. Potem przy stoliku ze zwiędłym narcyzem długo milczała.

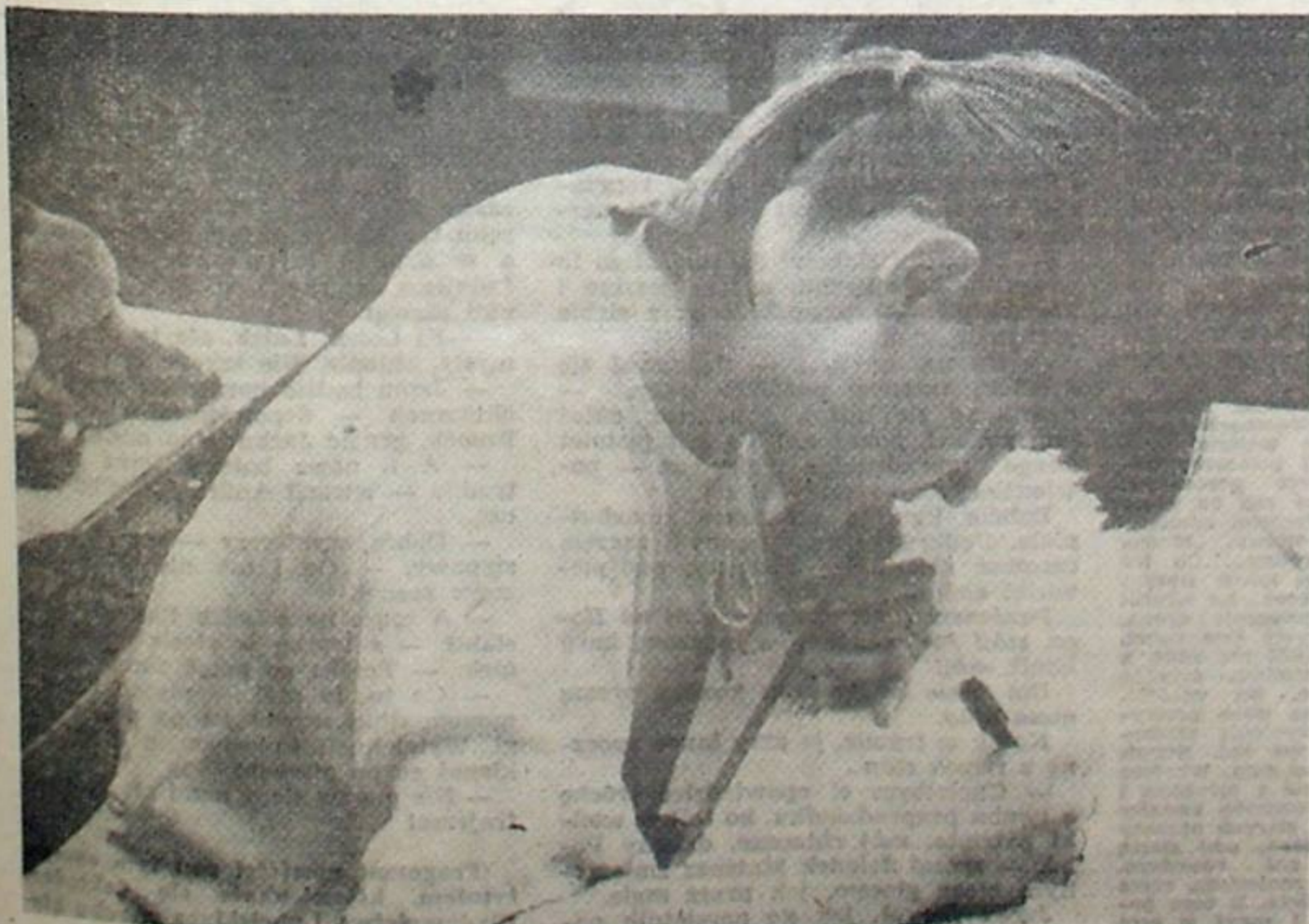
— Czkawka się nie obraził — powiedziała wreszcie. — Ale ja tej rzeczywistości nie zauważam, proszę pani. Nauczyłam się mówić: nieważne.

— A co jest ważne — zapytałam.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała Ludwika. — Zobaczymy, jak dorosnę.

— Może już dorosłaś?

— Skądże? — spokojnie zaprotestowała Ludwika. — Nie umiem jeszcze przebaczać, proszę pani.



Na tropie prapradziadka Waleriana

Henryk Makarski

JACEK szedł krok w krok za dziadkiem, obserwując go z podziwem. Mimo swoich 77 lat trzymał się dziadunio Mateusz prosto, jakby kij polknał. Od czasu do czasu tylko drzewem się kłaniał, schylając grzbiet popod gałęziami, kłującymi w oczy. Posrebrzana głowa jaśniała w ciemności jak stożek starego, mądrego wulkanu.

Kiedy dziadek Mateusz otwierał drewniane wrota, z psiej budy, przytulonej do pnia starego dębu na podwórzu, wyskoczył Hultaj i obszczał ich radośnie. Skrzyknęły drzwi i na progu stanęła babcia Paulina. Zgarbiona, niemal wygięta w kablak, a przez to jeszcze mniejsza, chociaż i tak niewielkiego wzrostu, przy strzelistym, wysokim dziadku Mateuszu wyglądała jak pokurczona uśmiechnięta huba drzewna, przycupnięta przy silnym, dębowym konarze w pożytecznej symbiozie.

— Aaaa, cóż za niespodzianka, Jacuś, Jacuś kochany, co za święto! Witaj w naszych progach! — klasnęła w ręce z uciechy i złożyła je jak do pacierza.

Jacek lubił do uroczyska Wiski przyjeżdżać chociażby po to, aby za każdym razem od nowa przeżyć tak uroczyste staropolskie powitanie. Babcia uczyniła z tego coś na kształt obrzędu, celebrując powitalną radość wobec wszystkich z tak jednakowo podniosłym namaszczeniem, że nawet stara Nestorowiczka, umysłowo chora od czasów okupacji żebaczka, okutana w stertę pachnących jałowcowym dymem szmat (syiała na kuchennej płycie z obawy przed myszami), która w codziennej ucieczce przed słońcem zaglądała tu czasami — czuła się w modrzewiowym dworku jak gość oczekiwany. Cóż tedy o Jacku powiedzieć, który nie posiadał się z dumy, ważny jakiś taki i uszlachetniony, potrzebny i kochany. Babcia tymczasem do komory popędziła po smakoliki, a Jacek zasępił się.

— Dziadziu, mam do dziadzia poważną sprawę...

Dziadek zmrużył porozumiewawczo prawe oko i konspiracyjnym szeptem zapytał, jak mężczyzna mężczyzną:

— Dziewczyna?

— E tam, dziadku, dziewczyny mnie nie interesują... — machnął gwałtownie ręką, jakby od natrętej muchy się oganiając. — Bo, widzi dziadzio, martwi mnie to, że ja mam wszystko nowe, prosto ze sklepu. Pas, finka, manierka — to wszystko śmiesznie świeżyna. Nawet ta lanca, niech dziadzio popatrzy na tę lancę! — wskazał z pogardą na dwumetrowej długości drążek, pachnący jeszcze zieloną emalią, zakończony solidnym ostrzem z blachy.

— No i co, piękna lanca, staranna robota. Taką lancę i niedźwiędzia powstrzymać można! — weselo odparł dziadek.

— Ładna to ona jest. Już się o to tatuś postarał, żeby mi zadowolony, ale co z tego — marudził Jacek. — Na ekspozycję do naszego muzeum w ogóle się nie nadaje...

— Jakiego znowu muzeum?

— No, naszego, harcerskiego. No, widzi dziadzio, druh przed wyjazdem na obóz powiedział: „Koledzy, nasz obóz w Mazanówce będzie miał charakter szkoleniowo-wypoczynkowy. Będziemy między innymi zdobywać sprawność tropiciela historii. Dlatego też założymy muzeum historyczne. W związku z tym wyznaczam wam pierwsze zadanie: przywieźć na obóz przynajmniej jeden relikwiarz przeszłości”. No i co dziadzio na to, dziadunio? Skąd ja wezmę na jutro rano taki relikwiarz — zafrasował

się tak zapalczywie, aż dziadek Mateusz parsknął śmiechem, a połówki wasy podrygiwały rytmicznie.

— Sursum corda, młodzieńcze, sursum corda! — wtrąciła się babcia, wskazując uroczyste palcem pionowo w górę.

Jacek zadarł głowę, ale zobaczył tylko schludnie obielony glinką sufit, wsparty powalą z ociosanego, czworokątnego kłosa. Z powały zwiślał pomysłowy abażur z pociętej słomy i kolorowego papieru. Chłopak spoglądał na ten abażur, spoglądał, brwi z wysiłku myślowego marszczył, ale nijak nie mógł skojarzyć go sobie z historią. Dziadek obserwował to z chytrem uśmiechem i tytoń posiekany na gazecie ugniał, tradycyjnym sposobem papierosy z machorki skręcając. Wreszcie chyba zrobiło mu się Jacka żal, bo wziął go za rękę i z tajemniczą



Rys. Andrzej Pytlík

miną wyprowadził do sieni. Pachniało tam kapustą i kiszonymi ogórkami, drzemiącymi w dużej dębowej beczce, przywalonej ogromnym kamieniem, spod którego sterczały do góry antenki mokrego kopru niby ciekawskie czujniki, stojące na straży. Między beczkami znajdowała się kłapa do piwnicy, a na niej stała stara, poczerwiała drabina. Widząc niezdecydowanie wnuka pierwszy wspiął się po dębowych szczeblach prowadzących na strych i kiwnął zachęcająco ręką, w milczeniu, jakby przez szacunek dla śpiących gdzieś tam po kątach modrzewiowej sadyby duchów Dowgielowych przodków.

W słynnym blasku latarki Jacek niewiele widział, zaledwie kontury dziwacznych sprzętów rozróżniał. Zaraz przy wejściu stała popękana dzieła do ciasta i polamany kolwrotek, spleśniały kurzem porośnięty. Wzdrygnął się nagle, bo coś mu na nosie śladło, twarz omotało. To pajęczyna, zdmuchnięta powiewem świeżego wiatru. „Można tu założyć fabryczkę penicyliny... Co też można znaleźć ciekawego na takim starym strychu?” — zadumał się Jacek, bo akurat znowu przypomniał sobie polecenie druha. Taki Teraz zrozumiał uroczyste gest babci. Przecież babcia miała na myśli nie sufit, a strych! A i tajemniczy uśmiech dziadka wróżył jakąś niespodziankę. No właśnie, gdzie jest dziadek? Mroczną ciśnie przerywało tylko słowieszcze skrzywienie twardziwych zawiasów, gdzieś tuż tuż. Strach ścisnął go za gardło. Pozostał sam. Wkrótce jednak jego wzrok oswoił się z mrokiem i zupełnie dobrze wyłowil z ciemności kształty misternie rzeźbionych mebli, starych uprzęży i skrzyń. W jednej ze skrzyń, pod stertą połówkowych gazet, namacał coś twardego. Dwa bagnety! Szczęśliwie ze znaleźszką, czym prędzej wycofał się do wyjścia. Z tego pośpiechu potknął się o coś i runął w sam środek sterty plew, nagromadzonych tu przez

długie lata, plosząc małe kocięta, które z przeraźliwym miuczeniem rozbiegły się po strychu. Stara kocica fukała ze złością, ale zapewne była nie mniej przerażona od Jacka. Padając, rąbnął o coś twardego. Kiedy usiłował wygramolić się z tej miękkiej, ale kłującej w oczy pierzynki, uświadomił sobie — rozcierając obolałe podłogi — że było to coś bardzo bardzo twardego. Ale co? Rozgrzebał plewy i oczom jego ukazała się mała, solidnie okuta skrzyneczka.

— O rany! — aż gwizdnął z uciechy. „To jest na pewno skarbi!” — pomyślał podniecony nie na żarty. Zardzewiała kłódka bronila skutecznie dostępu. „Może zawołać dziadka? E, ostatecznie jestem harcerzem...” To myśląc, wyjął za pas bagnę. Przeżarty rdzą skobel ustąpił i... Jacek oniemiał z wrażenia. Dech mu zaparło. Nie, tego nie spodziewał się zobaczyć nawet w najśmielszych marzeniach! Przed nim leżał oto najprawdziwszy pistolet o starodawnych fantastycznych kształtach i ozdobnym, bogato inkrustowanym zakończeniu.

— O rany! — wysapał. — Tu coś jest napisane, zaraz... „Umrzem lub zwyciężym!” — przeczytał napis, wygrawerowany po prawej stronie łoża, tuż nad rękojeścią pokrytą płytkami z kości słoniowej. A z lewej strony data: „1830”.

— Ojej! Tam coś jeszcze jest! — krzyknął. Pod pistoletem leżał połówki i zbutwiały ze starości zeszyt, ze starannie wykaligrafowanymi na okładce literami: „Walerian Dowgiello. Pamiętnik mój”. Jacek przewrócił gwałtownie pierwszą stronę i — rozdarł z pośpiechu.

— Jakoś to dziadkowi wytłumaczę... — pocieszył się, a tymczasem schował zeszyt za koszulę i — obejrząwszy strych jeszcze raz dokładnie — zaczął ostrożnie wycofywać się w stronę drabiny. Kocięta znowu baraszkowały w plewach, zaś ich matka uważnie obserwowała go rozpalonymi do czerwoności ślepiami, dopóki na dobre nie opuścił strychu.

Kiedy wszedł do kuchni, mając za pasem dwa bagnety i pistolet, a we włosach pełno plew, babcia Paulina zalamala ręce:

— Jacusiu kochany, a gdzieś ty, skarbie, tyle tego świństwa nabral, bójże się Boga, horrible dictu! Ostrożnie, ostrożnie, dziecko, z tym, ostrożnie!

Na dziadku Mateuszu widok uzbrojonego po zęby wnuśia uczynił nieco mniejsze wrażenie, ale i tak zainteresowało go to nad wyraz, skoro zaprzestał krojenia machorki i wąsa jął nerwowo podkręcać.

— Dziadziu! Babciu! Ja znalazłem to wszystko na strychu, a tam jeszcze i kocięta są! — wyrzucił Jacek z siebie jednym tchem.

— No no, no no... — dziwował się dziadek, szarpiąc połówki wasy. — Pokaż no się bliżej, bohaterze, coż tam znalazł, pokaż no! To jest pistolet twojego prapradziadka Waleriana — powiedział cicho i zamyślił się.

Babcia Paulina też jakoś zmarmotniała. Podkreśliła knot lampy i zaczęła cerować dziadkowe skarpety, podśpiewując cichutko:

— Panienczo, Litwinczko, stój na Boga, stój! Jam znużony, a spędzony karę konik mój!

Dla mnie mleka, dla konika proszę ousa bróg.

Konik w trawie, ja przy ławie spocznię u twoich stóp...

— Chciałbym ci opowiedzieć trochę o twoim prapradziadku, bo to był wielki patriota, mój chłopce, dzielny Polak — zaczął dziadek Mateusz zmienionym nieco głosem, jak przez mgłę.

Jacek poczuł, jak go pamiętnik parzył w piersi, ale nie miał odwagi wy-

jąć go już teraz, w dodatku rozerwany. Spuścił oczy i usiadł potulnie na ławie przylegającej do zapiecka.

Z rosą ranną moja panno, pość cię rzuci, tuój.

Bo nad Niemnem w borze ciemnym strzelec zaczął bój...

Srebrzysty dyszkant babci Pauliny drżał raz ciszej, raz głośniej. Dziadek oko przymrużył i z ledwie dostrzegalnym uśmiechem rzekł do Jacka:

— A wysłuchasz to młodziku mojej opowieści? Bo widzisz, wiem, że ty chłopak dobry i masz w głowie po kolei poukładane klepki z rodzinnego modrzewia, a nie kasety dyskotekowe, tak, ale może cię to po prostu znudzi, to takie odległe sprawy...

Jacek spojrzal z taką mocą, że gdyby zamienił ją na kilowaty, zapewne zostałaby z Mateusza tylko garstka spalonego gwałtownie popiołu. Dziadek pokłonił głową z zadowoleniem, poprawił się na ławie i zaczął opowiadać:

— Walerian Dowgiello urodził się na początku XIX wieku na Litwie, w majątku rodzowym Niedźwiadka, niedaleko Nowogródka, nad malowniczą rzeką Uszą...

— To znaczy w Polsce? — zapytał Jacek, przytulając się do dziadka.

— Nie, mój chłopce. Polski wtedy nie było... — odparł ten ze smutkiem.

— Jak to nie było? Polska była zawsze, dziadku!

— Zle mówisz, kawalerze. To Polacy byli zawsze, Polacy. A Polski wtedy nie było, znajdowała się pod zaborem. No, przecież chyba uczyli was w szkole historii, to wiesz... — obruszył się, podkręcając wąsa.

Długo by opowiadać, jak Jacek słuchał, jak wreszcie po wielu przygodach na obóz trafił i ukradkiem pod kocem połówki karty pamiętnika przeglądał: Ledwie kilka tygodni po podróży do Warszawy spoczął, a do Niedźwiadki mojej wieści o powstaniu w Królestwie dotarły. A jeszcze w Litwie była cichość straszna, zapowiadająca wojnę. Znoszono proch i strzelby, nocami w zamkniętych kuchniach wyprostowywano kosy, młodzież szkolna lała kule, myśliwi swe ładunki na grubszego zwierza chowali. Wrzenie kraj ogarnia, serca do czynu rozbudza. W Wilnie rząd tymczasowy utworzony jest, a po powstaniu oddziały powstańcze już się formują. Już i emisariuszów kilkoro do naczelnego generała i meldunkiem o gotowości Litwy do walki wyprowadzono. Wreszcie i ja wezwany zostałem, w południe kwietnia roku pańskiego 1831. Nie zwlekając ni chwili wyruszyłem w chłopieckim przebraniu, coż jenerałowi Skrzyneckiemu aż za Niemem meldunek o gotowości Litwy duchem doręczyć. Przez mozarę przedzierając się brzegami rzek kluczowymi, ciemną nocą gęste patrole kozackie omijały. Od czujających reżyszą zasadek o mało mnie tymczasem przypłacić nie przyszło. Kiedyś, ukryty w stodole przewodnika, poczywałem, kozacy na podwórce wpadli i konie zrazu do stodoly prowadzą na siano świeże, bo wygłodzone i zdrożone były, a one człowieka zwietrzywszy, parsknę nerwowo poczęły, co kazakowi jednemu widać nie spodobało się, bo jął pika siano przekłuiwać raz koło razu, czego to szukając. I pęknięciem, że przekłuiły mnie na amen, gdyby go ataman nie zawołał. Takim to cudem niechybnej śmierci uniknął, opatrnością dziękując... Na drugi dzień, już we wtorek, do domu kosiłysta wstąpiłem, gdzie było kilka kobiet białych i czysto ubranych. Jedna siedziała za krosnami, a inne motały nici. Serce mi się radoowało, kiedy mić uprzejmie, nie pytając, kto jestem, wzięto za jakiegoś posłańca z dalekiej wsi, powitano jak wieśniaka i poczęstowano gorzałką, a na stół zastawiono chleb, masło, ser i pełną misę gotowanego szcawliu. Na drogę dał mi sera gomulkę, piasek i fiarszkę brzoźowego soku... Wielom przygód przeżył, nim wreszcie moją najgorętsze marzenie spełniło się: biało-amarantowe chorągiewki ulańskie na gościncu lidzkim zobaczyłem i pleśń bojową „Nasz Skrzynecki mójny” usłyszałem, jak trebacze regimentu polskiego grają, a mnie w sercu grało, że to już...

— Tra ta ta! Tra ta ta! — zadziwiał ostry głos trąbki. Jacek wymamrotał przez sen: — Ułani grają, mościu panie, ulani...

— Nie ulani, offermo, ale druh obożny! — usłyszał nagle znajomy głos.

Jacek otworzył powoli obolałe powieki. Był już dzień. Nad nim stał zastępowy, chudy Piotruś. W jednym ręku trzymał pamiętnik prapradziadka, a w drugim żarzącą się słabym już światłem latarkę i kiwał z politowaniem głową:

— Ej Lolek, Lolek, ale ty masz pomysły, chłopie. Nie szkoda ci to oczu? — Jemu będzie bardzo do twarzy w okularach — dopowiedział słodziutko Romek, grając Jackowi na nosie.

— A o nowe baterie teraz raczej trudno — wtrącił Andrzej, ścieląc prycze.

— Dobra, wystarczy — przerwał zastępowy. — On i tak nie słucha, bo znow zasnął.

— A może nasz Lolek Balonowa zasłabł? — z troską w głosie dodał Romek. — Trzeba go polać zimną wodą!

— Co to, to nie! — pisał Jacek i momentalnie zerwał się na równe nogi. Wybuchnął śmiechem, a Piotr poklepał go po plecach:

— Nie martw się, z nami nie zginięsz, frajerze!

(Fragment powieści pod tym samym tytułem, która ukaza się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego w roku bieżącym).

POEZJA ŁUŻYCKA

W PRZEKŁADZIE BARBARY DOHNALIK

Od pewnego czasu „Kamena” wraca do tradycji publikowania literatury słowiańskiej. Dziś przedstawiamy poezję łużycką, wchodzącą równocześnie w skład literatury NRD. Poeci ci należą do najstarszego i najmłodszego pokolenia. Jurij Breżan urodził się w roku 1916, Frido Mětšk także, Jurij Koch w 1936, a Fryco Libo w 1947, a Franc Šen i Benedikt Dyrlich w 1950.

Jurij Breżan

KRZYCZA FIOŁKI

... i krzyczy za tobą
moja krew
krzyczała łąka porośnięta mleczkami
i dniem szarym, jesiennym
krzyczała krew.

Już się rodzi dzika myśl
w obłąkanym mózgu:
w żelaznej butli — oto
trzeba uwięzić krew.

Już ani śladu
po tęsknocie.
Już nie ma śladu
w butli zziębnięty tlen,
po kobalcie okruchy
po tęsknocie — pył.

Glupiec oto ze mnie obumarły
przez moją blażeńską tęsknotę
zabiłem krew.
W mym mózgu lodowata kłoda...

Frido Mětšk

PÓŹNY PAŹDZIERNIK NAD JEZIOREM L...

wieczór

I

Jesienny wiatr już mrozi.
W zmierzchu zgubionego lasu,
mgła się płaszczy po równinie —
a tylko gdzieś z wysoka
tęsknią oddalone gwiazdozbiory.

Situmione dzwonienie dalekie
miętko się zagubi w ścierniskach...
Nad łąką bez fiołków
ptaki tylko i szczekanie psa.

Zaraz podźwignie się ciemność w ogromie
czerni.

Czerwień opasala się wokół nieba,
kiedy wraz z miesiącem
wypłynęła z jeziora, które tak jak nigdy
obejrzało dziś właśnie tyle światła...

na drugi dzień rano

II

Świeciejszy idę rano poprzez trawy.
Wiatru ręka chwije się
niepewnie gaje pozdrowia.
Z twarzy zerwanym welonem
delikatnie rozgarnia trzciny.

Tam, gdzie z ukosa spoziera plowcy świt
ły ociera brzoza
wzdychając do poranku.
Nagle za gajem tuż zapłonęły szczyty.

Kraju, który pragniesz dużo więcej słońca,
na ciebie w nowym dniu pazur niepewności
czyha.

Jurij Koch

CEREUS GRANDIFLORUS

Tak się nazywa kwiat,
który mnie zasmucił
kiedy poznałem
jego tajemnicę.
Wszystkie siły wyteża
jak może najdłużej —
WRESZCIE nadchodzi ja... tam
WIECZÓR i już kwiat się budzi.

Przez mgnienie oka
patrzającym nań ludziom
ukazuje swój przepych
i więdnie.

Gdzie jeszcze mamia oczu
tak nietrwale kwiaty?...

I NAGLE zobaczyłem —
Chociebuż... Budziszyn...
WSZĘDZIE wzdłuż Łuży
raz po raz zakwita
jakis pięknie nietrwaly
CEREUS GRANDIFLORUS.

Fryco Libo

PRECZI

Wynoś się z mojej krajiny
czarna gęboł
Wynoś się wraz ze swoim czarnym niebem,
którym zioniesz...
Przez ciebie słońce i księżyc
placzą złotymi łzami...
Kto im te łzy obetrze?!

Preczi!

Śmieje się czern...
... a gęba
pożera gwiazdy...

Franc Šen

BARWY CICHNA

Brunatną woń sęczy mokre drzewo...
Ile jeszcze promieni przeplecie
koronki sitowia?...

Jasna zieleń nieba boli biało.
Jeszcze ciepło caluje. Jak niegdyś

Lubina.

Kędzierzawi się smuga rzeki
i miętko opada...
Może to jednak włosy...

Czy długo będzie słońce tulić się do ziemi?
Smutna pieśń zaplątana w chłodnym bladym
wietrze.

Barwy orzeźwiającej
cichna...

Benedikt Dyrlich

SZKIC DO WIERSZA

Ci, którym obce
zapomnienie w czasie,
nie znają moich ukrytych pożądań.
Czym dla mnie są
blekitne blaski znajomych wód
lub łąk zielonych taskotliwa trawa —
Tutaj pielęgnuję swój niepokój.
Szukam oparcia w młodych drzewach —
czas mnie nie zwiedzie, swawolnego
naśladownika szumu
wiatru i śpiewu ptaków. Któż może
dziś śpiewać jak Rilke...

Zostanę tam, gdzie mnie ziemia
najbardziej rozedrze.



Z myślami — przyjaciółmi wychodzę
na łąkę. Tam byłaś ty,
moja echa, moja kochana i
w trawie calowałaś mnie słońcem.

Nikt nie może powiedzieć na pewno:
to jest nieruchome, a to się kołysze. Oto słońce
jak młyńskie koło. I ja — woda, co płynie
z pagórków ojczyzny...

Nasze spojrzenia biegną ku tej samej
wyspie: Odpoczniku Wieczornych Zmierzchoć.
Daj mi wrócić tam, gdzie nie można udaremnić
dnia ani nocy.

Jakże lekko unosi się twój brzuch
oprawiony w moje ciało. A nad nami latają
bezcenne wrony. Cóż, ty moja echa, moja
kochana...

Jeszcze twierdzisz, że to nie ma sensu? A może
senssem wszystkiego jest
twoja literka A
albo moje Zet???

EKRAN I WIDZ

Worzywanie Stachury

NA POKAZIE w lubelskim studenckim DKF „Bariera” obejrzałem zrealizowany w 1982 r. dla TV — i dotąd w telewizji nie prezentowany — film Andrzeja Brzozowskiego „Wszystko jest poezją”. Ten godzinny ni to „dokument” ni to „esej filmowy” poświęcony jest postaci zmarłego tragicznie przed niespełną czterema laty Edwarda Stachury.

Twórczość „Steda” cieszy się w ostatnich czasach ogromnym i wciąż wzrastającym zainteresowaniem; słusznie ktoś zauważył, że stał się on dla współczesnej młodzieży literackim idolem. Zbiorowa, pięciotomowa edycja utworów poetyckich i prozatorskich Stachury, wydana w ogromnym — jak na ten rodzaj twórczości — nakładzie trzydziestu tysięcy egzemplarzy, rozeszła się błyskawicznie. Pisałem niedawno w „Kamieniu” cośkolwiek na temat pierwszego, „lubelskiego” okresu twórczości poety, nie będę się więc tutaj powtarzał ani odwoływał do lokalnych sentymentów. Muszę natomiast z satysfakcją odnotować, że trud, jaki włożyli lubelscy studenci w zorganizowanie całego „wieczoru Stachury” — nie ograniczono się jedynie do projekcji filmowej, ale poprzedzono ją prelekcją Bogusława Wróblewskiego, redaktora naczelnego lubelskiego „Akcentu”, oraz recitalem piosenek „Steda” — zasługuje na prawdziwe uznanie.

Niestety, film Andrzeja Brzozowskiego, który miał być clou imprezy, okazał się najfatalniejszym kłosem programu.

Edward Stachura nie ma, niestety, szczęścia do swoich teatralnych, telewizyjnych i filmowych piewów. W interpretacji Wojciecha Siemiona — najpierw na deskach warszawskiej „Starej Prochowni”, a następnie na ekranie telewizyjnym — został wykreowany na jakiegoś chłopka-roztropka czy też wsiołowego filozofa. Obecnie rozprawił się z nim po swojemu Andrzej Brzozowski.

Za punkt wyjścia filmu „Wszystko jest poezją” wziął reżyser ten moment w życiu poety, kiedy doszedł on do wniosku, że „wypalił się do końca”, że nie ma już nic więcej do zrobienia, do napisania, gdy upadł już na takie dno frustracji i takie dno rozpacz, że targnął się na własne życie.

Pokazanie owego stanu odchodzenia poety od świata żywych, wkroczenia — w sposób coraz bardziej zdecydowany i konsekwentny — w dominium Śmierci, jest bez wątpienia zamierzeniem bardzo ambitnym. Nie mniej interesującym jest pomysł przedstawienia „prawdy o Stachurze” na zasadzie jakby odwijania rolki filmowej „od końca do początku”. A więc — sięgania do coraz odleglejszej retrospektwy, w celu pokazania, co narodziło przez lata w duszy bohatera filmu, jak rysowało się i nabrzmiewało to „coś, co w końcu kazało Stachurze położyć się obok toru kolejowego na prowincjonalnej stacji i podłożyć prawą dłoń pod kółko nadjeżdżającego pociągu. I wreszcie: ciekawe jest założenie reżysera — ukazania, jak niewiele z człowieka, z poety, pozostaje w świadomości i w pamięci osób nawet zupełnie mu bliskich. Nie mówiąc już o owym chirurgu, który operował Stachurę po wypadku i nazwisko Stachury nie mu nie mówiło, a dopiero potem, „od osób trzecich” dowiedział się, że był to znany poeta, prozaik, że... „pisał także piosenki...” (t) Mój Boże! co za kłeska: kilkadziesiąt lat targania się ze sobą, z własną duszą, i ciałem, z całym światem, i taki komentarz człowieka, który odebrał ci resztki reki! Tej reki, którą pisałeś wszystko, co tak bardzo chciałeś wykrzyknąć przed ludźmi.

Więc pomysł miał Brzozowski znakomity. Chodzi niestety tylko o realizację tego pomysłu...

Poszedł reżyser po linii „reporterskiej drapieżności”. Niczego nam nie oszczędza: ani fotograficznej dokumentacji miejsca wypadku, ani rentgenowskich zdjęć zmiażdżonej dłoni oraz potłuczonej czaszki poety, ani „intelektualnych” jazd kamery po salach i korytarzach szpitala dla psychicznie chorych, gdzie przez pewien czas przebywał po wypadku Stachura. Ani tej wyjątkowo żalostnej artystycznej, „odtworzonej” sceny z wyjąca karetką pogotowia, w której siedzi ostatnia towarzysząca życia „Steda”, i — na wyciu syreny — opowiada, ona, poetka (!), jak to wieziono Stachurę do szpitala. Rozpaczliwie nudne (choć zapewne w założeniu miały być: „nijakie”) są tasiemcowe relacje „gadających głów”: pokazanych na ekranie „naocznych świadków”, „przyjaciół”, „twórców” oraz „członków rodziny” zmarłego poety. Nie kończące się „przerywniki”, w których kolejni piosenkarze prezentują kolejne piosenki „Steda” — jakby Stachura był jakimś polskim Bobem Dylanem, a nie bogato zróżnicowanym artystą. I dlatego mądrze zrobiła żona Stachury, Zyta-Orszyn, że nie wpuściła filmowców za próg z ich kamerami, lampami, mikrofonami i wszędobylską, nachalną „dociekliwością”. I w efekcie, w zakończeniu „Wszystko jest poezją” — widzimy tylko (słusznie!) zatrzaśnięte na głucho drzwi do mieszkania Edwarda Stachury.

Jest tylko jedna naprawdę porwijająca i naprawdę głęboka w swym tragizmie scena w tym filmie: ta chwila, kiedy widzimy na ekranie zeszły z rzędami pojedynczych literek — jak w zeszycie pierwszoklasisty — z okresu, kiedy „Sted” uczył się pisać lewą ręką. Jak dziecko. Jakby wszystko usiłował zacząć od początku, całe swoje życie, całą swą twórczość. Ale na co ostatecznie nie starczyło mu ani siły, ani odwagi. Lecz jedna scena filmowa nie czyni filmu.

Temat, na jaki się porwał Andrzej Brzozowski, byłby może udziwniał Ingmar Bergman. Brzozowski pokazał jedynie, jak „ambitny” filmowiec może dorównać prawdziwego poecie...

M.D.

PO KONTROLI...

ROZMOWA Z I SEKRETARZEM KW PZPR W ZAMOŚCIU WŁADYSŁAWEM KOWALEM

Dokończenie ze str. 1

— Może je przypomnieć?

— Zaczynałem od inspektora Wydziału Rolnictwa Prez. PRN, potem zostałem kierownikiem tegoż wydziału i wreszcie, w 1961 roku, przewodniczącym Prezydium PRN. Stanowisko to piastowałem przez lat jedenaście do chwili wyboru na I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Krasnymstawie.

— Po Krasnymstawie był Lublin i kolejny awans?

— W Lublinie wybrano mnie sekretarzem KW PZPR, a w 1982 roku mianowano wicewojewodą. Teraz jestem znów w Zamościu, powróciłem więc jakby do źródeł.

— Jak przyjęliście wybór na stanowisko Pierwszego?

— Z bardzo dużym obciążeniem psychicznym, ponieważ liczyłem się z tym i liczę nadal, że jest duże oczekiwanie na ostateczne położenie kresu tym niepokojom, jakie tutaj w ostatnich latach wystąpiły. Mam na myśli te różne nieprawidłowości albo, jak niektórzy mówią, afery dotyczące podwyższonych standardów mieszkań. Standardy standardami, ale na Zamojszczyźnie popełniono wiele innych, poważniejszych błędów. To wszystko mści się i dzisiaj, odbija na psychice samego aktywu partyjnego i gospodarczego. Pewne zasady sprawiedliwości społecznej zachwiały się, można było obserwować pęd do szybkiego urzędzenia się bez względu na koszty, niestety często koszty społeczne. Ale nie należy sprawy generalizować i rzucać cież na wszystkich. W sumie, jeśli spojrzeć na problem wszechstronnie, bez zaciętrzewiania się, należy dostrzegać i pozytywne. Zaliczyć do nich trzeba integrację mieszkańców naszego województwa i umocnienie się lokalnego patriotyzmu, który nie ma nic wspólnego z zaciętkowością.

— Województwo zamojskie ma charakter rolniczy i właśnie ta gałąź gospodarki decyduje o jego rozwoju.

— Tak. 78 proc. ludności pracuje na roli, bądź żyje z rolnictwa. Cały więc przemysł, cała infrastruktura powinny temu rolnictwu służyć.

— Zgoda. Spotkałem się jednak z opinią, że województwo zamojskie, które dysponuje znakomitymi glebami, nie daje krajowi takiej produkcji rolniczej, jakiej należałoby oczekiwać.

— Jest to temat, któremu można by poświęcić kilka wywiadów. Prawdą jest, że mamy niezłe warunki glebowe, natomiast nie znaczy to, że mamy zarazem dobre warunki klimatyczne. Zboża wymagają dłuższego okresu wegetacyjnego, odpowiedniej wilgotności. Tutejszy klimat jest częściowo kontynentalny. Nikt nas jednak nie bije w produkcji i wydajności buraków, tytoniu, konopi czy lnu. Przy mądrej gospodarce ekonomicznej nasze województwo osiąga w tych dziedzinach plony wysokie. Jeśli zaś chodzi o zboża, to nasze wysiłki idą w kierunku znalezienia odpowiednich gatunków ziarna siewnego, które przy tutejszym klimacie przyniosłoby obfitsze plony. Na marginesie trzeba wspomnieć, że opłacalność upraw zbożowych nie jest znów taka wielka, inne uprawy stanowią dla nich konkurencję. Niemniej jednak, aby obraz był jaśniejszy chciałbym dodać, że uzyskujemy większe plony zbóż niż wynosi średnia krajowa — 24—25 kwintali z hektara. Od tej średniej mamy plony o cztery, pięć kwintali wyższe. Oczywiście nie znaczy to, że te wyniki nas satysfakcjonują. Ale trudno jeszcze dzisiaj porównywać naszą kulturę rolną z kulturą rolną niektórych zbożodajnych województw zachodnich. Wielowiekowych zaniedbań nie usuniemy w przeciągu lat kilku czy kilkunastu zważywszy, że i pod względem umazynowania wsi mamy wiele do zrobienia. Czy wiecie, że u nas jest jeszcze około 200 wsi bez dróg dojazdowych? W okresie okupacji hitlerowskiej nasze tereny ucierpiały szczególnie, całe wsie zniknęły z powierzchni ziemi, a ich mieszkańców wywieziono lub wymordowano. Rolnik zamiast in-

westować w ziemię, inwestował w budynki — wszystkiego nie można mieć naraz.

— Jest w tym sporo racji, jednak ostatnia kontrola Głównej Inspekcji Terenowej działała bez rękawiczek i sporo błędów wam wytknęła. W ślad za inspekcją nastąpiły i ostre decyzje kadrowe. Czy władze partyjne, nie mówią już o administracyjnych, nie zdawały sobie sprawy z tych nieprawidłowości, o których mowa w raporcie GIT-u?

— Muszę uczciwie powiedzieć, że wyniki kontroli trochę mnie zaskoczyły. Kontrola dokonano po trzech i pół miesiącach mojej ponownej tu bytności, a to jest zbyt krótki okres, aby ogarnąć całość gospodarki. Z informacji, które miałem wynikało, że najtrudniejsza sytuacja panuje w służbie zdrowia, że źle jest z komunikacją, drogami, infrastrukturą komunalną, ochroną środowiska. Kontrola oceniła jednak najgorzej rolnictwo, a ściślej nie rolnictwo, ale działalność w tym zakresie służb i jednostek rolnictwa obsługujących. Ocena GIT-u zmusiła nas do zmiany własnych ocen, do nieco innego rozłożenia akcentów. Przyjęliśmy już na posiedzeniu Egzekutywy KW ramowy plan dalszych działań. W każdym razie raport GIT-u potraktowaliśmy z całą powagą i jest on przedmiotem naszych szczegółowych analiz.

— Wspominaliście o informacjach, które, mówiąc delikatnie, nie odzwierciedlały istoty zagadnienia. Kto ich udzielał? Władze administracyjne?

— Tak, ale nie tylko. Również organizacje społeczne, spółdzielcze, rolnicze... Doświadczenie wykazuje, że zakres informacji, jak i samą liczbę informatorów, należy poszerzyć. Zadnego krytycznego sygnału, niezależnie od tego, skąd by on pochodził, lekceważyć nie należy.

— Wszystko zależy od ludzi piastujących odpowiedzialne stanowiska w województwie, mieście, gminie. Po wprowadzeniu stanu wojennego dokonano w terenie pewnych zmian personalnych, w mniejszym stopniu dotknęły one sam Zamość. Cefnę się w czasie. Zbyt pośpiesznie przeprowadzona reforma administracyjna kraju w krótkim czasie ujawniła, że nowe województwa nie dysponują najlepszymi kadrami. Niekiedy do nowych województw przenoszono ludzi z metropolii starego województwa, awansowano ich, nie wszyscy spośród nich sprawdzili się. Po prostu nie doróśli oni do czekających ich zadań. W Chełmie takich ludzi nazywano spadochroniarzami. Zamość miał zapewne podobne doświadczenia? Nie najlepsze...

— Nie mogę mówić o Chełmie; jeśli zaś chodzi o Zamość, nie należałoby sprawy wyolbrzymiać. Z samego Lublina przybyło tu nie tak znów wiele osób, raczej ściągano ludzi z terenu. Oczywiście miało to określone konsekwencje, chociażby mieszkaniowe, budziło niezadowolenie tych, którzy musieli dłużej czekać na własny kąt. Zapewne nie ustrzeżono się błędów, niekiedy działano w zbyt- nim pośpiechu...

— I niekiedy łamano też prawo, chociażby spółdzielcze. Główna Inspekcja Terenowa wytknęła na przykład to, że niektórzy uzyskiwali członkostwo w spółdzielni mieszkaniowej już po formalnym otrzymaniu przydziału.

— To są znane fakty, trzech kolejnych wojewodów odeszło w dość dramatycznych okolicznościach. Zdają sobie sprawę, że teraz trudno będzie kogokolwiek namówić na Zamość, nawet największego fachowca, bo jak mu zapewnimy mieszkanie? A poza tym, kto się raz sparzy, dmucha i na zimno. Jaka jest gwarancja, że człowiek, który chce osiąść w Zamościu, ma rzeczywiście wysokie kwalifikacje? Ludzie sprawdzają się w działaniu, dyplom uczelni nikogo nie nobilituje. Założymy, że ja mam kilka mieszkań przeznaczonych dla fachowców. Mówię „założymy”, bo przecież takich mieszkań nie mam. Ale gdybym je posiadał, to jakże trudno byłoby mi podjąć odpowiedzialność za kogoś, kogo po prostu nie znam...

— Nie odbierając niczego Zamościowi, można szczerze stwierdzić, że są w Polsce miasta atrakcyjniejsze. Jeśli więc ktoś chce się przenieść do Zamościa, należałoby przyjrzeć mu się dokładnie. Rzytyko duże. Zwłaszcza po doświadczeniach, przykrych doświadczeniach, o których mówiliśmy.

— I dlatego trudno nam liczyć na dopływ świeżej kadry, chociaż należałoby stwarzać jakieś bodźce dla tych młodych zamościan, którzy udali się



Fot. Archiwum

na studia i zamierzają powrócić do miasta. Przede wszystkim jednak trzeba pracować z tą kadra, jaką posiadamy. Pracować, to znaczy szkolić ją, umiejętnie obsadzać poszczególne stanowiska i kontrolować, patrzeć na ręce, szczególnie wymagania stawiać członkom partii. Pewne rozeznanie już posiadam, a myślę, że będzie ono coraz większe. W każdym razie dostrzegam wielu takich, którzy związali swój los z Ziemią Zamojską, angażują się, pracują rzetelnie, dają z siebie wszystko. Nam jest przede wszystkim potrzebna stabilizacja kadrowa. Sądzę, że możemy ją osiągnąć. Nasze województwo jest zaliczane do spokojnych, nawet w okresie największego napięcia w kraju nie było u nas szczególnych ekscesów.

— Podobno mi się, że zależy wam na powrotach młodych zamościan po studiach. Ale znów wyłania się trudny problem mieszkaniowy. Mieszkanie byłoby tym bodźcem...

— Jasne. Wypowiadamy się za tym, aby między władzą administracyjną a spółdzielczością mieszkaniową doszło ostatecznie do porozumienia. Porozumienie to polegałoby na tym, by pewna część mieszkań została wydzielona dla niezbędnej kadry...

— Powrót do starego?

— Nie. Sprawa ma wydźwięk ogólnospołeczny. Potrzeba nam lekarzy, potrzeba dentystów? Potrzeba. Jak ich zdołamy ściągnąć na nasz teren? No jak, powiedzcie? Ludzie muszą zrozumieć, że wspólne, podkreślam — wspólne dobro wymaga wspólnego działania. W takich województwach, gdzie nie ma ośrodków naukowych, wojewoda musi mieć chociaż najskromniejszą pulę mieszkaniową, by sprostać podstawowym potrzebom. W innym wypadku usłyszeć możemy: władza jest bezradna, władza nie potrafi. Taką władzą być nie chcemy.

— A czy są próby tworzenia na Zamojszczyźnie spółdzielni mieszkaniowych przez samych młodych? Nowe przepisy idą młodym na rękę...

— Są próby. Namawiamy do tworzenia tego typu spółdzielni. Sprawa nie leży jednak w samej chęci młodzieży, bo tych chęci nie brakuje, ale w mocach przerobowych i materiałach. Nie dysponujemy ani wielką liczbą przedsiębiorstw, ani materiałami. Te środki, które posiada istniejąca spółdzielczość mieszkaniowa i zakłady pracy, nie są i nie były — chociażby w ostatnim roku — w pełni wykorzystane. Obecnie czynimy wszystko, aby plan budownictwa wykonać. Jeszcze, gdy mowa o młodych. Chcielibyśmy, aby powstawały takie spółdzielnie, które nastawiliby się na wykończenie mieszkań.

— Rozumiem to tak: wykończenie po tym, kiedy budowlani dokonają prac podstawowych, a więc kiedy ustawią płyty. Ale czy nie myślicie o ożywieniu zlikwidowanych niegdyś cegielni?

— Oczywiście, że myślimy. Ostatnio taki zespół, zresztą nie jedyny, powstał wśród młodych absolwentów w rejonie Tomaszowa. Dużą cegielnię budujemy w Markowiczach pod Bilgorajem. To nam trochę pomoże rozwiązać problem. Poza tym my w województwie zamojskim dysponujemy, jeśli chodzi o materiały ściennie, dostateczną liczbą przedsiębiorstw, które je produkują, jednak obowiązuje tu centralne rozdzielnictwo. Brak nam materiałów wykończeniowych. Chodzi o armaturę, płytki, glazurę itp.

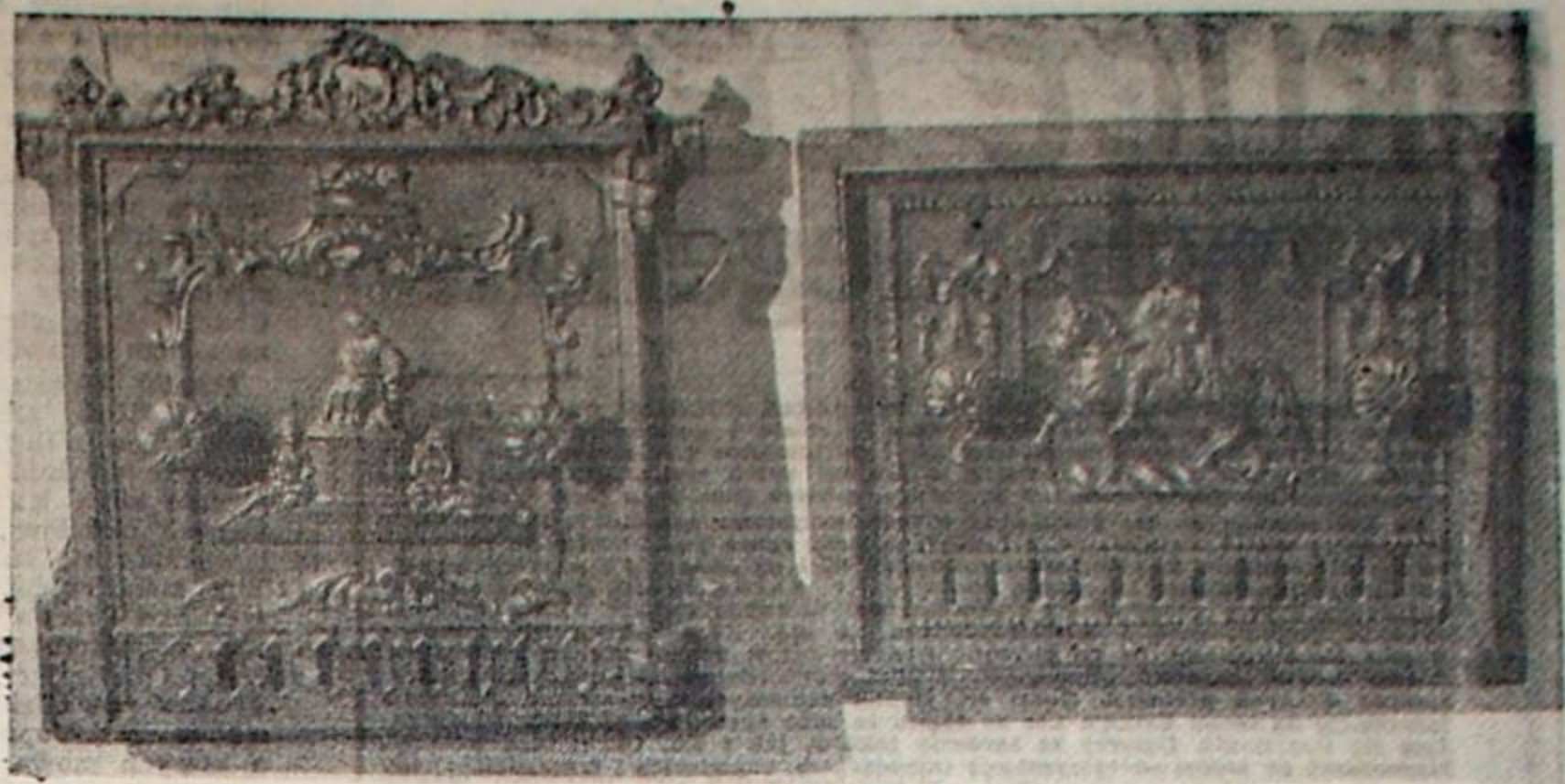
Oczywiście popieramy budownictwo indywidualne, przydzielając na ten cel odpowiednie kredyty. Ale problem, o którym mówiłem przedtem, a mam na myśli materiały wykończeniowe, też i tu stanowi wąską gardło.

— Dziękuję za rozmowę i życzę, by już więcej nie było takich raportów GIT-u, jak to się zdarzyło ostatnio.

— Też bym tego pragnął

Rozmawiał:
Marek A. Jaworski

O kaflach i innych takich



Drzwiczki z pieców. Rynek 6.

JESTEŚMY oto w połowie 1983 r., więc zrozumiałe, że ukazał się nr 5-6 czasopisma „Projekt” z minionego roku. Szczęśliwie w jedną czy drugą stronę, cóż to znaczy wobec sztuki, która podobno jest wieczna.

Osobiście to nawet wdzięczny jestem okolicznościom, które spowodowały, że zesłoroczny „Projekt”, przygotowywany chyba na zimę, ukazał się teraz, kiedy ludzie kąpią się już w Zalewie Zemborzyskim. Na czwartej stronie okładki znalazłem bowiem taką oto całostronicową i barwną reklamę, którą niniejszym powielam w kilkunastu tysiącach egzemplarzy (nakład „Kamery”, nie oczekując gratyfikacji, no może poza uśmiechem od pani Wiesławy Wierchowskiej, redaktorki pisma i autorki wyczekiwanego wydawnictwa „Współczesny rysunek polski”, zawierającego m.in. kilka reprodukcji prac naszego Stanisława Góreckiego, za co p. Wiesławie chwała. Wracając do rzeczy:

„The Palace in Kozłówka invites Muzeum Wnętrz z końca XIX wieku. Czynne od maja do października w dni powszednie w godz. 10-15, w soboty i w niedziele w godz. 10-17. W poniedziałki Muzeum nieczynne. Zwiedzanie w grupach pod opieką przewodnika. Adres: Muzeum w Kozłowie, 21-132 Kamionka tel. (w oryginale znak graficzny aparatu) 29-88, telex: 0643393 Pałac”. Obok ten sam tekst w języku angielskim.

Kto wpadł na pomysł reklamowania Kozłówek w ten sposób, nie wiem, ale uważam to za rzecz pożyteczną, bo

„Projekt”, jedyne w tej chwili polskie pismo z zakresu sztuki wizualnej i projektowania, stojące na wysokim poziomie graficznym i w ogóle interesujące, ukazuje się w kilku wersjach językowych. Reklamowanie się na takich łamach posiada więc sens realny. Poza oczywistym, i taki, że oddała jako trywialne pytanie o stan ksiąg inwentarzowych i kart katalogu naukowego muzeum w Kozłowie. Kto by zresztą zwracał sobie głowę takimi sprawami, skoro na fotografii pałac wygląda okazale, a zwiedzający za oryginały biorą znajdujące się tam wielkie różnorodnych obrazów, kiedyś wstyd przyznać, wieszające nawet w ubikacjach hrabiego Konstantego Zamoyckiego, ostatniego pana na włościach, człowieka bezsprzecznie przyzwoitego i naprawdę rozmiłowanego w malarstwie.

Ale ważniejsze jest właśnie to opóźnienie „Projektu”, spowodowane przez tzw. okoliczności, albowiem los sprawił, że w dniu otrzymania pisma obejrzałem kilka pokoi kamienicy Rynek 6 na lubelskim Starym Mieście i tam, z wiadomą reklamą w pamięci, dane mi było poczynić kilka spostrzeżeń natury konfrontacyjnej.

W zabytkowym budynku, którego elewację tygodniami malował kiedyś Andrzej Kołodziejek, zawieszony na rusztowaniach, otóż w czekających na remont wnętrzach obiektu zobaczyłem to, co niejednokrotnie, w tonie wielkiej przychylności, przedstawiała prasa lubelska: lapidarium, czyli zbiór detali architektonicznych i części przedmiotów użytkowych, które wydobyto

podczas prac rewaloryzacyjnych na Starym Mieście. Były tam zatem kafle, szczyty i żeliwne drzwiczki z pieców, metalowe „aedicule” wodociągów i takie wsporniki balkonowe, fragmenty późnogotyckich trójdzielnych okien, balustradki, wielkie drewniane tralki — ale co ja tu będę państwu dalej wyliczał, skoro wystarczy powiedzieć, że w tym wnętrzu znajdowało się niewiarygodnie sugestywne, uderzające prawdą autentyczną i nostalgiczne, przesłanie ze świata ludzi, którzy gdzieś tak od XVI do początków XX wieku żyli w obrębie Starego Miasta, z pokolenia na pokolenia składając się niejako na ten dokument codziennego bytowania, przed jakim stałem oto z rozdziałową gębą. Każdy właściwie przedmiot posiadał swój wdzięk indywidualny i wielką urodę, ozdobne kafle aż prosiły się o osobną uwagę, żeliwne drzwiczki zachęcały do pilnego odczytania figuralnych kompozycji (jeźdźcy na koniach, alegorie, parowoziki buńczuczne), powaga kamiennych detali architektury udzielała się patrzącemu. Ale w pewnym momencie uzmysłowiłem sobie, że te drobiazgi i duże elementy nabierają elokwencji i tworzą specyficzny klimat tylko w zespole, jedynie wtedy, kiedy rozmawiają ze sobą. I chyba tylko wtedy, gdy znajdują się w takim właśnie pomieszczeniu: o porysowanych i splekanych ścianach, wznoszących wiekowi budynek w miejscu rodzinnym tych przedmiotów. Kto widział ekspozycję w kamienicy Rynek 6, ten zgodzi się, że ewentualne przeniesienie „co ciekawszych” elementów do jakiegoś muzeum zamieni je w preparaty, radostki estetyczne, pozbawione życia i

zdolności do gaworzenia o polskiej codzienności w dawnych czasach.

W tej kamienicy znajdują się ponadto plansze ilustrujące metodologię, historię i wyniki badań, które od wielu lat prowadzi na Starym Mieście pracownia architektoniczno-konserwatorska PKZ. Badania te trwają, detali na wystawie przybywa. Tęsząc je tu specjalistę z owej pracowni, nie rzadko na własnych barkach, „w czynnie”. Niektóre z odkrytych elementów powinny powracać na elewacje czy do wnętrza wyremontowanych obiektów, ale taka troska o autentyczność zdaje się przekraczać możliwości innych pracowni. Renowacja to nie kolacja (np. u króla Stasia).

Ale na deser to chciałbym poinformować, że urządzona w lipcu minionego roku wystawa ta jest już zamknięta, bo dyżurni przewodnicy PTTK, którzy opiekowali się początkowo ekspozycją, zmęczeni się jakoś, a inni ludzie tylko wzruszają się, kiedy mówią się im o wartości przedsięwzięcia — mogącego przecież zainicjować powstanie Muzeum Starego Miasta!

Jedyny ratunek dla lapidarium widzę w zamieszczeniu jego kolorowej reklamy w jakimś wielojęzycznym i cenionym periodyku. Może ktoś z zagranicy kupi w całości to przesłanie z polskiej przeszłości codziennej? Przeszkoda widzę jednak w fakcie, że skreślili je zwykli mieszczanie i szlachcice, a nie hrabiowie. Gdyby tak rozzejrzeć się po naszych zabytkach mniejszych od zamków i pałaców, okazałoby się, że jest to niestety przeszkoda poważna.

IJK

Śmiej się, panowie z Kombi...

W POŁOWIE lipca 1978 roku na scenie Opery Leśnej w Sopocie trzy zespoły promowały „oficjalnie” nowy ruch — Muzyki Młodej Generacji. Od początku miała ona precyzyjnych wyznaczników formalnych, stanowiąc spontaniczną reakcję młodych zbudowanych wykonawców na komercyjizm rodzimej estrady. Zabrał się oni ostro do dyskredytacji disco, wielbiąc eksperymentalny rock. Pamiętam, jaka euforia młodzieży towarzyszyła owym koncertom; jednym z trzech produkujących się wówczas w Sopocie zespołów było KOMBI.



Fot. Andrzej Tyszkó

pełną komercję, drażniącą, jak sądzę, nie tylko nastawionych rockowo debutantów. Uglądzona rytmicznie, elektryczna konfektka w rodzaju „Nie ma jak szpan” jest dowodem zasadniczego zwrotu w poczynaniach zespołu.

Kombi powstało przed siedmiu laty w wyniku fuzji dwóch gdańskich formacji: jazzujących Akcentów i pop-rockowego Horoskopu. Wielka wrzawa reklamowa wokół działań czwórki muzyków, dowodzonych przez pianistę Sławomira Losowskiego, pozwoliła Kombi wystartować do kariery, jakiej nie znali dotąd wykonawcy rocka. W bardzo krótkim czasie zespół trafił na płyty Tonpressu i Pronitu, do studia radiowego i telewizyjnego. Prezentował brzmienie niezbyt odkrywcze, ale chwytliwe, łatwo trafiające w gusta młodych odbiorców. Kombi nigdy nie grało agresywnego rocka, takiego na miarę Perfectu czy Maanamu. Korzystało za to z pełną garścią z bogatego archiwum funky i disco, ubarwiając swe produkcje elektrycznymi fantazjami, będącymi raczej mało udanymi kopiami świetnych skądinąd nagrań Vangelisa. Słodkie, melodyjne szlagiery: „Wspomnienie z pleneru”, „Przytul mnie”, „Taniec w słońcu” i „Królowie życia” tudzież menadżerskie starania Jacka Sylwina (ojca chrzestnego ruchu Młodej Generacji) sprawiły, że Kombi przemierzało trasy koncertowe wspólnie z grupami: Locomotiv GT, General i Eruption, a także Afric Simonem i Little Tonym. Zespół występował też w NRD, Związku Radzieckim, na Węgrzech, w Bułgarii i RFN. Próbowal nawet przebić się na rynki Szwecji i Holandii. Niestety, z marnym skutkiem. Za to w kraju wiodło mu się wymiennie. Wielką kokietowała go telewizja (exemplum: widowiska muzyczne „Salon piękności”, „Przytul mnie” i „Arlekin na szczytach” oraz recitale w Studiu-2), a o nagrania zabiegały firmy fonograficzne. Tonpress obdarował Kombi Złotą Płytą, zaś dwa longplaye (Pronitu i Wifonu) cieszyły się sporym uznaniem najmłodszych słuchaczy.

Programowa zaczeźność muzyki i tekstów muzyki rozmieniła w końcu na drobne — w gorączkowym biegu po sławę. Chcieli przede wszystkim być zaakceptowani przez szerokie grono odbiorców, niekoniecznie entuzjastów rocka. Nie było to akurat zadanie trudne, zważywszy znaczne umiejętności techniczne lidera grupy — Sławomira Losowskiego. W postępi na rozgłos Kombi decydowało się na muzykę lekką, nadającą się do tańca, jakże jednak daleką od ekspresyjnych propozycji Republik czy Lady Pank. „Nie ma jak szpan” można by zamienić na „Nie ma jak szmal”, wyznaczający kolejne poczynania również innych wykonawców.

Droga kilku metamorfóz stylistycznych grupa zarzuciła funky i melodyjnego rocka na rzecz muzyki elektronicznej. Czy jest to szansa na dłuższe przetrwanie w pamięci młodego pokolenia? Śmiej się, panowie!

Kombi od początku istnienia miało kłopoty z perkusistami. Autora nazwy zespołu, Jana Piłtę, zastępowali

kolejno: Ryszard Gębura, Przemysław Pahl, Jerzy Piotrowski i Zbigniew Kraszewski. Ostatecznie jednak w br. zrezygnowano z obecności perkusisty w zespole, powierając jego funkcję perkusyjną komputerowi „Kollanda”. Zapewne najbliższy czas skompromituje tę zamianę.

Mnie osobiście nowe nagrania Kombi zwracają uwagę. Nie ma w nich nie tylko melodyjnego pop-rocka (znanego choćby z „Hotelu twoich snów”), ale nawet słodkich prerobek Vangelisa. Zespół, ograniczony do trzech wygodnych dzentełmenów, zmierzając powoli w uliczkę bez wyjścia. Niestety, muzyka elektroniczna — obojętnie czy określi się ją mianem „new romantic”, czy też jakimś innym hasłem — niejednego już wyrugowała z grona lubianych i cenionych wykonawców. Krótko mówiąc, Kombi szukuje powoli na siebie wyrok.

A wszystko bierze się z braku własnych, oryginalnych pomysłów. W końcu, jak długo można cytować innych? W „kombinowanym” banku tematów i zagrań, przypominających ulubieńców: Herbie Hancocka, Vangelisa i Stevie Wondera, widać już dno. A że przynależność do tego jest szalenie trudna, mając na koncie mniejsze i większe sukcesy, wybiera się zło konieczne, czyli płynięcie na falę mody. Nie musi ona wcale odpowiadać ambicjom muzyków. Wystarczy, jeśli daje tu nadzieję na przetrwanie kryzysu. Kombi dotknął właśnie kryzysu i nie wiem, czy zespołowi uda się wyjść z depresji nagrańmi w stylu „new romantic”. Młodzi słuchacze, wbrew pozorom, są wyczuleni na fałszywą nutę i mistyfikacja może okazać się krótkotrwała.

Grupa ma ponad realne możliwości wyjazdu na kilka festiwali europejskich, gdzie w grę wchodziłyby ponadto nagrania płytowo-telewizyjne. Oby tylko nie skończyły się one podobnie, jak szeroko reklamowane (to niezłomna maniera Kombi) kontakty z holenderską firmą Utopia Music, która szykowała się podobno do wydania longplaya gdańszczan i organizowania dużej akcji promocyjnej. Ostatecznie Holendrzy wytłoczyli kilkadziesiąt egzemplarzy sondażowych singielka „Spring in Poland”. Dobrze chęć, jak widać, nie gwarantują sukcesu. Opiekun artystyczny zespołu gotów jest uciekać się jeszcze do innych, chwytliwych grepsów, mających sugerować rodzimym fanom wielkie zainteresowanie propozycjami Kombi na Zachodzie. Warto jednak pamiętać, że są to wyłącznie pozory, za którymi niestety nie ma już nic. Zgodnie z zapowiedziami muzyków, elektroniczny eksperyment grupy mają ocenić słuchacze. Ja uważam go za niewypał. A wy, Czytelnicy?

Tomasz Węgrzyn

BRUCE LEE: prawda i legenda (1)

Rozpoczynamy druk artykułu poświęconego postaci chińskiego mistrza Kung-fu, aktora, reżysera, propagatora sztuki walki Wschodu i prekursora nowego stylu Jeet Kune Do (będącego przetworzeniem i połączeniem elementów kilku innych stylów) BRUCE'A LEE. Nie szczędzono mu też opinii szarlatana, hochsztaplera, otumaniaacza młodzieży, nadętego przyglupa, mistrza filmowego picu.

Co nas skłoniło do tej publikacji? Przede wszystkim ogromne zainteresowanie tą postacią wśród nastolatków, a i młodych ludzi sporo po dwudziestce. Tu przyznajmy nieskromnie, że ubiegłoroczne numery (15 i 18) „Kamienia”, w których przybliżyliśmy Czytelnikom koreańską sztukę walki TAERWON-DO, rozeszły się błyskawicznie i przy zwrotach 1 i 3 procent. Był to swego rodzaju sondaż zainteresowania problematyką i zapotrzebowania na nią. Z pewnością nie jesteśmy w pomysłach oryginalni, bo na podobne wpadły już w ubiegłym roku inne pisma, między innymi „Razem”, „Panorama” i „Polityka”. Nie mamy zresztą do prekursorstwa żadnych pretensji. Godzi się jednak zauważyć, iż powielane publicznie informacje na temat Bruce'a Lee są często ze sobą sprzeczne, niekiedy wykluczające się wzajemnie. Dotyczy to zarówno faktów, jak i dat. Chcąc tego uniknąć, sięgnęliśmy do źródeł obcojęzycznych (niemieckich, angielskich i francuskich), aby uzyskać możliwie prawdziwy obraz „Małego Smoka” i jego fenomenu. Byłoby przesadą twierdzić, iż to się udało. Proponujemy zatem traktować przekazywane informacje z ostrożnością, pożądaną zawsze, gdy mówi się o ludziach już za życia obrotowych legend.

Chcemy naszą publikacją zachęcić młodych miłośników Bruce'a do wypowiedzi na temat: DLACZEGO WŁASNIE ON? Dlaczego przesłanie jego działania trafia u nas na tak podatny grunt? Co sprawia, że film „Wejście Smoka” oglądany był przez niektórych po 43 razy (!!!)? Dlaczego sekcje wschodnich stylów walki są obiegane przez chętnych? Jakże potrzeby młodzieży zaspokaja czy kompensuje? I w tym miejscu chcemy zaprosić do wspólnego postawienia „diagnozy” naszych młodych Czytelników. Ogłaszamy konkurs na wypowiedź będącą jej próbą. Najciekawsze będą premlowane trzema nagrodami po 1000 złotych i trzema po 500 złotych. Najlepsze zostaną również opublikowane w „Kamieniu”. Czekamy na prace do końca czerwca br.

NIEJASNOŚCI zaczynają się już w kwestii urodzenia Bruce'a Lee. Nie ma wątpliwości, iż fakt ów miał miejsce w San Francisco. Matka (przyszłego idola) powiła czwarte z kolei dziecko — chłopca, któremu dano anglosaskie imię Bruce, mimo iż oboje rodzice byli rodowitymi Chińczykami. Kiedy to było? Jedni podają datę 27 stycznia 1940 roku, drudzy: 27 listopada 1940 r. Pierwsza jest częstsza w publikacjach angielskich, druga — w niemieckich.

Nie ma jasności, co robili państwo Li, czy z angielska — Lee w USA. Bardziej popularna wersja głosi, iż opuścili oni rodzinną „Pachnącą Wyspę” (Hongkong) w poszukiwaniu chleba i trafili drogą morską do Stanów Zjednoczonych. Inne znów źródła informują o tournée, jakie miał odbywać po USA ansambl chiński śpiewający tradycyjne pozycje opery kantonńskiej. Jego członkami mieli być ponoć państwo Lee. Nie dowiadujemy się jednak, kiedy ów zespół przybył do USA, czy nawet do Kalifornii, gdzie urodził się Bruce. Wiadomo natomiast, że rodzina Lee mieszkała w słynnej Chinatown. Nie jest to też żadną wskazówką, bo mogli tam zamieszkać zarówno jako stali emigranci, jak też — goście, artyści.

W początku 1943 roku rodzina Lee wraca do Hongkongu. Mówi się, że z powodu kiepskiej sytuacji materialnej i braku perspektyw lepszego jutra. Inaczej — po zakończeniu tournée. Wydaje się, że jak by było, do powrotu przyczyniła się walenie inna okoliczność. Po klęsce amerykańskiej floty w bazie Pearl Harbour (grudzień 1941 r.), w USA panowała psychoza japońska, stopniowo rozszerzana na wszystkich Azjatów tam zamieszkujących. W tym czasie wiele Bogu ducha winnych rodzin pochodzenia azjatyckiego, podejrzanych o szpiegostwo, pozbawionych pracy, czy tylko w ramach prewencji musiało opuścić Stany.

Po powrocie na rodzinną wyspę rodzice Bruce'a zaczynają prosperować zupełnie dobrze. Zmieniają w ciągu trzech lat dwukrotnie mieszkania i kupują dom w ekskluzywnej dzielnicy „lepszego” z dwóch miast Hongkongu — Victorii, zamieszkiwanej głównie przez Anglików i lokalną elitę biznesu.

Od urodzenia, Bruce był chłopcem bardzo żywym, ruchliwym, o dużej inteligencji motorycznej. Bliższy kontakt emocjonalny utrzymywał raczej z ojcem, który od początku zaprawiał go w ćwiczeniach fizycznych. W ogóle senior Lee był fanatykiem tężyzny i sprawności ciała i ducha. Aplikowane kilkuletniemu chłopcu ćwiczenia ojciec popierał opowieściami o legendarnych mnichach klasztoru Shaolin, biegłych zarówno w medytacji, jak i doskonale panujących nad swoim ciałem. Bez większego ryzyka pomyłki można powiedzieć, że okres wczesnego dzieciństwa przesądził o późniejszych zainteresowaniach i wzorach chłopca. Z domu wyniósł on również inny mo-

del, standard działania związany z publiczną prezentacją własnej osoby i umiejętności. Robili to na scenie jego rodzice. Nastąpiło tu stopienie się typowo wschodniego ideału doskonalenia samego siebie z bardzo amerykańskim modelem kariery publicznej; rzeczy z pozoru przeciwstawnych.

W 1946 roku, dzięki koneksjom ojca, Bruce otrzymuje rolę w filmie „Narodziny ludzkości”. Pierwszym z osiemnastu, w których zagra. Występ w tym kiczowatym obrazie traktowany był bardzo prestiżowo przez całą rodzinę. Samego chłopca bawilo to przez pierwszy tydzień zdjęć, a potem już znacznie mniej...

Dwa lata później nakręcony zostaje film „Kid Cheung”, w którym Bruce gra małego, cherubinowatego dzieciaka, przeżywającego różne przygody; wzruszające, śmieszne, codzienne, niezwykłe... Film odnosi sukces i Bruce staje się popularny w całym Hongkongu, a jego rówieśnicy marzą, aby być tacy jak on. Słowem — sukces. Później u szczytu sławy Bruce Lee powie, że ta rola była decydująca dla jego przyszłości. Zauważmy jednak, że jest to na razie realizacja amerykańskiego modelu kariery. Dopełnieniem

jest uczęszczanie do najlepszych szkół prywatnych i obracanie się w „odpowiednim” towarzystwie.

W czasie, kiedy kilkuletni „gwiazderek” występuje w filmach, z Chin ogarniętych rewolucją ucieka słynny Yip Man. Człowiek-legenda, wielki znawca starochińskich sztuk walki i ich mistrz. Przybywa do Hongkongu. W 1953 roku ojciec zapisze Bruce'a do słynnej szkoły Yip Mana „Wing Chung”. Przyjęcie zostanie poprzedzone testem sprawdzającym.

I znów wkraczamy w sferę niejasności. Mówi się, że trzynastoletni Bruce Lee zrobił na starym mistrzu ogromne wrażenie. Miał wykonać bezbłędnie kilka kata, czyli skomplikowanych układów formalnych Kung-fu i wykazać się znakomitą refleksją. Yip Man rzucił niespodziewanie w kierunku Bruce'a monetę, a on je „zbił” zewnętrznymi krawędziami dłoni i stop, markując ciosy. Czy tak było? Trudno powiedzieć, choć nie wydaje się to prawdopodobne. Umiejętności, o których mowa, a zwłaszcza układy, wymagają długich godzin ćwiczeń. Czy trzynastolatek rozrywany przez rówieśników mógł mieć aż tyle czasu na doskonalenie? Nie wiadomo też, aby poza ojcem miał jakichś nauczycieli. Jeżeli przyjąć, że ojciec, między próbami i występami w teatrze, miał dla syna czas, to czy akurat na tak skomplikowane ćwiczenia? Wiadomo, że senior Lee był fanatykiem rozwijania tzw. energii życiowej (Ki), najogólniej — zdolności samopoznania, samokontroli, samoopanowania, które to poparte sprawnością i siłą fizyczną miały zapewnić ćwiczącemu świadomość własnych możliwości oraz „gotowość” do ich wyzwalania. Można przyjąć, iż ćwiczenia z synem mogły mieć charakter bardziej „ogólnorozwojowy” i koncentracyjny, nie zaś techniczny.

Fakt pozostaje jednak faktem: Bruce Lee wiąże się z Yip Manem i tak już pozostanie do śmierci mistrza; jego uczeń przeżyje go zaledwie o trzy miesiące. Szczegóły ćwiczeń aplikowanych nastolatkiowi przez Yip Mana nie są bliżej znane. Bruce mówił o nich powściągliwie i nieodmiennie z wielkim szacunkiem dla mistrza, który mógłby być jego dziadkiem. Wiadomo, że obok ćwiczeń fizycznych, doskonalenia i poznawania nowych technik walki i układów formalnych, obejmowały one także Zen. Oprócz posługiwania się gołymi dłońmi i stopami, Yip Man uczył Bruce'a walki również przedmiotami (m.in. nunchaku, czyli dwiema połączonymi łańcuchem pałkami, specjalnymi strzałkami ciskanymi na odległość, krążkami lub monetami o wyostrzonych jak brzytwa krawędziach, które rzucone z łatwością mogły przebić czaszkę).

Nietrudno zgadnąć, że młodego chłopaka owo zgłębianie tajników walki coraz bardziej wciągało i z czasem stało się celem życia. Po dwóch latach treningów kontrolowanych, ćwiczeń własnych (m.in. przed lustrem, podczas spożywania posiłków) i praktycznej weryfikacji wiedzy w walkach szkoleniowych, Bruce Lee nie miał sobie równych wśród uczniów Yip Mana. Pozostanie jego tajemnicą, jak dochodził do perfekcji. Kiedyś podczas pobytu w Rzymie na zdjęciach kolejnego filmu, dziennikarz zapytał go, jak opanował pewien układ. Bruce odpowiedział: *To nie wielkiego. Trzeba po prostu ćwiczyć. Ja wykonywałem ten układ cztery tysiące razy, zanim go zademonstrowałem publicznie. Myślę, że daje to jakieś pojęcie o pracowitości naszego bohatera, choć nie pozabawione jest „gwiazdorskiej” przesady.*

W 1956 roku rodzice decydują, że Bruce pójdzie do renomowanego St. Francis Xavier College, w miejsce o które ubiegała się zawsze najlepsza młodzież Hongkongu. Tak też się staje. Szesnastolatek uczy się i codziennie trenuje. Znajduje też czas na wyżywianie się w „paczce” rówieśników (ang. gang, niem. Bande).

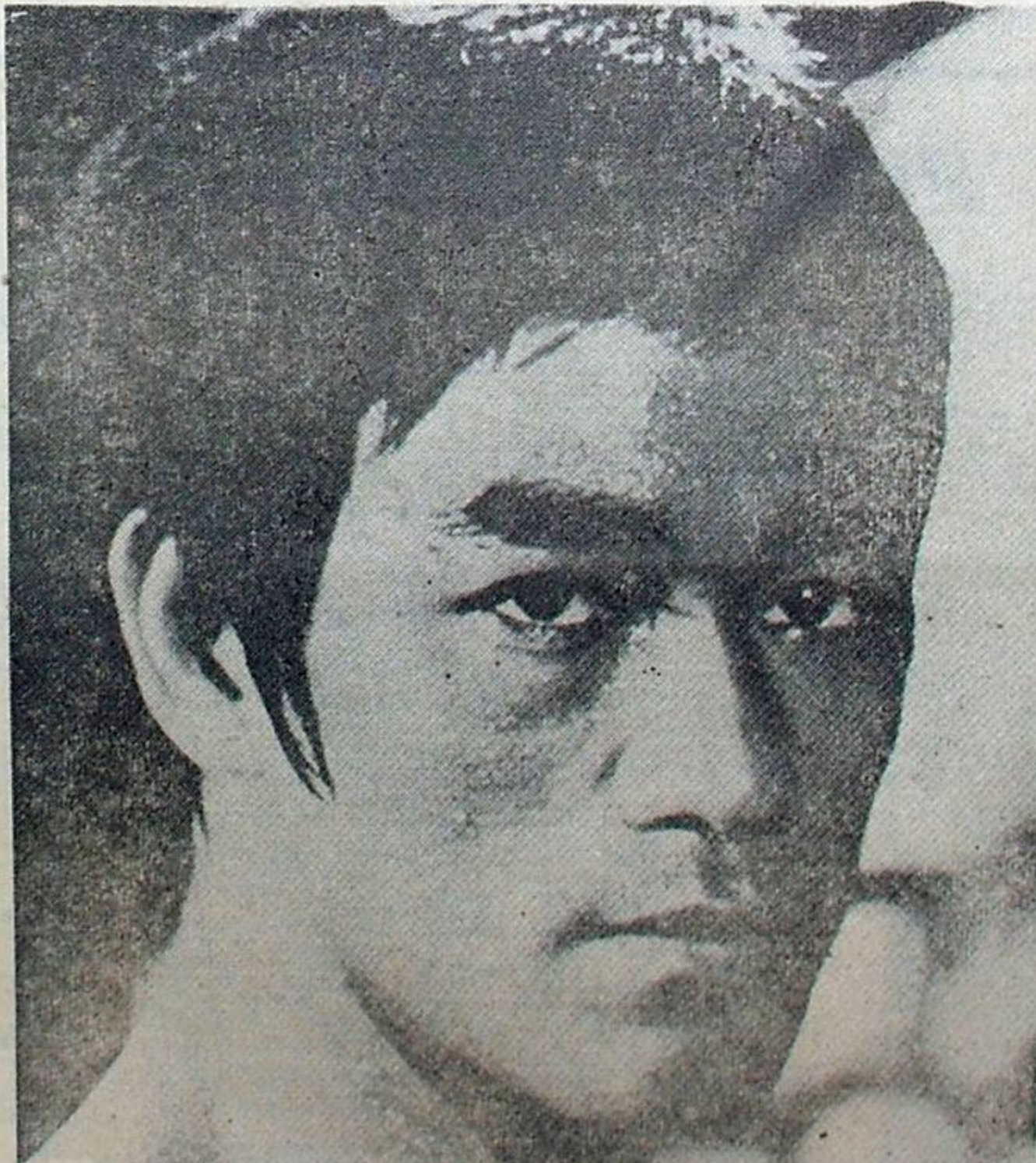
W niektórych polskich publikacjach spotyka się sformułowanie, że Bruce był członkiem, czy nawet przywódcą... gangu ulicznego. Jest to oczywistym nieporozumieniem, związanym z różnymi odcieniami znaczeniowymi słowa gang w angielskim i polskim. Na Zachodzie tworzenie się „paczek” działających w obrębie ulicy, kilku ulic, czy dzielnicy było w latach pięćdziesiątych bardzo modne i jest do dzisiaj. Znalazło to nawet odbicie w kilku filmach ze słynnym „West Side Story”. Proste utożsamianie działalności tych grup z przestępczością nie ma uzasadnienia, choć nie można tego oczywiście w stu procentach wykluczyć.

Moda na „gangi” panowała także i w zwesternizowanym Hongkongu. Przedmiotem rywalizacji były „wpływy” na określonym terenie, a najczęstszą formą jej rozstrzygnięcia — walki wręcz. Różniły się one zasadniczo od bijatyk — powiedzmy — w Nowym Jorku, ze względu na stosowanie innych, bardziej finezyjnych, opartych na wschodnich stylach sposobów walki. Wspominając tamte czasy, Bruce Lee niejednokrotnie podkreślał, że ulica była „drugą szkołą”, bo tam właśnie uczył się praktycznego stosowania nauk Yip Mana. Wkrótce został „szefem” swojej grupy i kolejno rozprawiał się z innymi „bandami”, działającymi w okolicy.

Za namową producenta filmowego, a przyjaciela ojca, Bruce godzi się zagrać w 1957 roku w obrazie „Orphan Ah Sam”, którego scenariusz zostaje napisany wyraźnie pod niego. Jest to historia chłopaka, który uczy się w college'u, a jednocześnie działa w „gangu”. Chęć posiadania pozycji w grupie rówieśniczej idzie u Sama-Bruce'a z chęcią samokształcenia i samodoskonalenia. Działanie na zewnątrz, wśród ludzi i przebijanie się pięściami do przodu ze zwróceniem się do wewnątrz, skupieniem na wartościach mniej widocznych, ale za to bardziej przyszłościowych. Nietrudno w takiej alternatywie dostrzec nie tylko desygnaty dobra i zła, ale i rywalizację modelu kariery zachodniej z wzorcami wschodnimi. Nietrudno też się domyślić, którą drogę wybierze bohater filmu. Mimo dość nachalnego dydaktyzmu i wielu uproszczeń psychologicznych „Orphan Ah Sam” oddawał chyba rzeczywiste rozterki młodych Azjatów po II wojnie światowej; ową trudność w wyborze drogi. Dotyczyło to także Bruce'a Lee.

Po nakręceniu filmu, siedemnastoletni student St. Francis Xavier College dokonuje wyboru. Rezygnuje z pozycji lidera w swojej „paczce”. Znacząco później zwierzy się z motywów tej decyzji Jamesowi Coburnowi, znanemu aktorowi amerykańskiemu, uczniowi, a potem przyjacielowi:

Zrozumiałem, że znalazłem się na niebezpiecznym zakręcie. Kiedy ma się za plecami grupę kumpli, jest się silnym i to się czuje. To jest bardzo mile uczucie, ale również bardzo niebezpieczne. Demobilizuje ono, zniechęca do pracy nad samym sobą. Tu nie chodzi nawet o sprawność fizyczną, a o psychikę: człowiekowi bardzo łatwo jest zrezygnować z samotnej walki o cel i zdać się na pomoc innych. Takie uzależnienie stępią czujność, uwagę, koncentrację woli. Przeszkadza w walce. [...] Nie wiem, czy gdybym wtedy uległ pokusie przewrotu słabszym ode mnie, nie zaszedłbym „za daleko” i nie został... gangsterem.



Bruce Lee w początkach kariery filmowej.

Reprodukcja: Jacek Mirosław

Wypowiedź w zwulgaryzowanej formie: Gdybym nie został aktorem, byłbym gangsterem była później wielokrotnie powielana; w tym także u nas.

Film „Orphan Ah Sam” cieszył się powodzeniem nastolatków w całym Hongkongu. Przysporzył on Bruce'owi wielkiej popularności u dziewcząt. Dla wielu z nich randka z idolem nabierała bezcennej wagi. Podobno występ filmowy został skrytykowany przez Yip Mana, który zdawał się nie akceptować takiej kariery swego ucznia. Wydarzenie to — o ile w ogóle miało miejsce — dało asumpt dla późniejszych plotek o konflikcie, który narastał między mistrzem a uczniem.

Po sukcesie filmowym Bruce nie zaniebyszał żadnej okazji, aby swoją popularność powiększyć. W 1958 roku startuje w konkursie tańca-szlagieru cha-cha, który zdążył dotrzeć już z USA. Wśród kilku tysięcy uczestników Bruce Lee okazuje się najlepszy i otrzymuje miano „Króla Cha-cha Hongkongu”. W tym też roku kończy naukę w college'u i staje przed nim kolejna konieczność wyboru drogi. Hongkong robi się dla niego za ciasny. Wie, że może tu zagrać jeszcze w kilku filmach, zdobyć jeszcze większą popularność, ale nigdy nie będzie to kariera wychodząca poza prowincjonalizm wyspy. Swojej szansy musi szukać gdzie indziej. Kierunek nie jest znów tak trudny do określenia: USA.

Jesienią 1958 roku, żegnany przez rodzinę i przyjaciół, Bruce wsiada na statek i odplywa z rodzinnej wyspy. Legenda powiada, że miał wówczas w kieszeni kilka adresów znajomych ojca L. 100 dolarów. Nietrudno zauważyć w tej wersji ogólnego przesłania mitu kariery amerykańskiej: startu od zera i dojścia do wyników z szczęściem i odplywaniem po jakiejś cyfrze. Trudno dziś powiedzieć, jaki udział w tej części legendy miał sam Bruce, ale bez ryzyka można ją włożyć między bajki. Jest trudne nawet do pomysłenia, aby najpopularniejszy nastolatek „Pachnącej Wyspy”, grający w filmach, wygrywający konkursy, a na dodatek pochodzący z dobrze sytuowanej rodziny, został wyprawiony w świat z sełką „zielonych”. Bardziej prawdopodobne jest, że jechał do Ameryki z niele wypchanym portfelem. Nie ma natomiast potrzeby wątpić, że wyposażony w adresy przyjaciół seniora Lee.

(ciąg dalszy nastąpi)

Michał Rey

Zjazd dziennikarzy

Dokończenie ze str. 1

Po prawdzie, to zachęcamy do uprawiania czegoś, co już istnieje. „Polityka” i „Rzeczywistość”, „Tu i Teraz” i „Przegląd Tygodniowy”. „Życie literackie” i „Odra” — to przecież pisma odmienne nie tylko tytułami, w innej optyce przedstawiające rzeczywistość, choć kilka z nich eksponuje w winiecie to samo hasło: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” Poza tym jest jeszcze „Tygodnik Powszechny”, a z drugiej strony — coraz ciekawsze „Argumenty”.

Chciałoby się więc tylko zaapelować o utrzymanie tej różnorodnej artykulacji publicystycznej, zdając sobie nawet sprawę, jak znikomy wpływ na

bieg realnych wydarzeń mają pobożne życzenia. Nie zapominajmy jednak, że dziennikarstwo jest zawodem politycznym, czyli działalnością, która we właściwy sobie sposób kształtuje rzeczywistość, przynajmniej w pewnym zakresie. O czym pamiętać winno SD PRL.

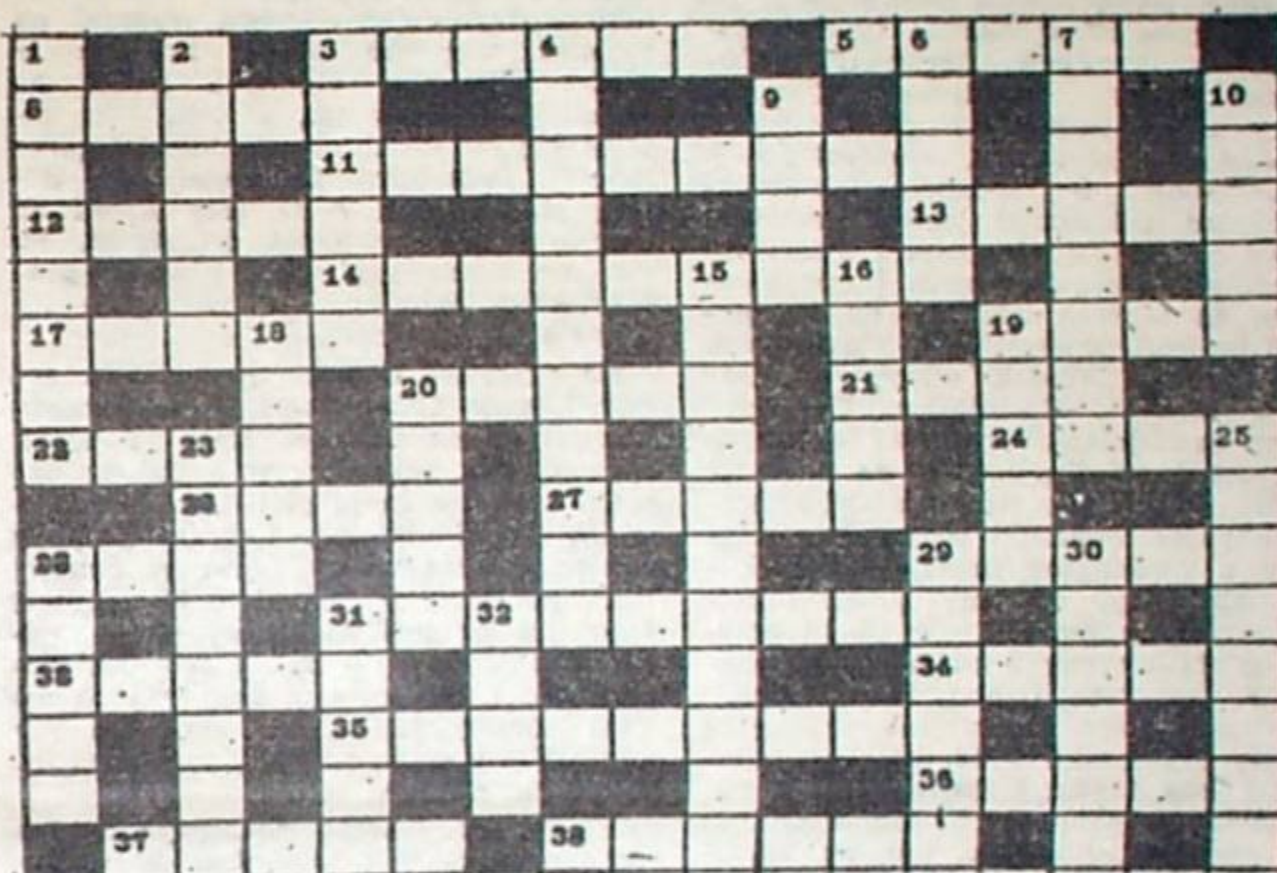
Stowarzyszenie liczy (dane z połowy kwietnia) 5373 członków, a więc niewiele mniej, niż dawne SDP. Największą grupę stanowią dziennikarze zatrudnieni w gazetach i czasopiśmie RSW „Prasa—Książka—Ruch” (34,2 proc.), w wydawnictwach (30,3 proc.) oraz w radiu i telewizji (16,5 proc.). Pokazny odsetek to osoby w wieku największej sprawności zawodowej (26—45 lat), których jest 2305. Zupełnie natomiast skromną grupę tworzą dziennikarze bardzo młodzi: 12 (w wieku od 21 do 25 lat), 63 proc. członków SD PRL należy do PZPR, 1,3 proc. — do ZSL, tyle samo do SD, bezpartyjnych jest 31,4 proc. (1667 osób). Profesja, sędziwie, nie uległa jeszcze feminizacji, skoro w stowa-

rzyszeniu zdecydowanie przeważają mężczyźni (74 proc.). Organizacja posiada 18 oddziałów terenowych.

Oddział lubelski powstał w maju ub. roku. Było nas wtedy kilkudziesięciu, dzisiaj do oddziału należy 165 dziennikarzy prasy, radia i telewizji, a więc o pięć osób więcej, niż do dawnego SDP. Trzeba wszak dodać, że wśród członków stowarzyszenia znajdują się obecnie także redaktorzy prasy zakładowej i radiowców. Mamy, jeśli tak można powiedzieć z przeprosinami, 34 kobiety. Oblicza się, że około 85% ogółu dziennikarzy lubelskich należy do oddziału SD PRL. Na zjazd warszawski wysłaliśmy 11 delegatów, którzy po powrocie, mamy nadzieję, poinformują nas o przebiegu obrad.

Red.

KRZYŻÓWKA NR 15



Poziomo: 3. jeden z rozdziałów „Boskiej komedii” Dantego, 5. uciekinier, 8. stolica polskiej piosenki, 11. niedawno zmarły poeta polski, redaktor pism ludowych, 12. odnoga delty Wisły, 13. wpada do Zatoki Weneckiej, 14. pompuje koka przy pomocy elektryczności, 17. wiejski dom, 19. jednostka miary papieru, 20. przed, 21. legendarny założyciel jednej ze stolic historycznych Polski, 22. syn Dedala, 24. handluje pieniędźmi, 28. np. to wot, 27. odpowiednia pora, 28. „Nie rzucim ziemi”, 29. podwyższenie do ładowania wagonów, 31. pilot-samobójca, 33. przedłuża je tysina, 34. pisarz rosyjski i radziecki, autor słynnych dramatów, 35. miejsce startu rakiet, 36. miasto koło elektrowni „Adamów”, 37. wielkość, 38. w wiancu i bukietce.

Pionowo: 1. pisarz polski, współzałożyciel grupy Przedmieście, 2. słynny ród włoski, z którego pochodził papież Aleksander VI, 3. w wiancu, 4. Sabala w aktach, 6. ruskim magnat, 7. Orfeusz poszedł dla niej do piekieł, 9. rzeźbiarski surowiec, 10. „I chwala”, 15. należała do nich Narcyza Zmichowska, 16. pisarz, którego imię nosi muzeum w Rabce, 18. grzeje wodę w łazience, 19. urodziło się w podnóżu Gorców, 20. gagowa komedia, 23. wróży z gwiazd, 25. biskup, poeta Oświecenia, 28. prawda, 29. wyścigi żaglowców, 30. budowlańcy, 31. miasto nad Niemnem w Litewskiej SRR, 32. bóg wojny.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12
Poziomo: Beckett, Gerhard, Apollinaire, dama, ulga, reja, eter, Atlas, noc, Sagan, pamiętnikarze, stado, Oka, rzesa, osad, tran, Saul, aria, Makuszyński, fermeta, alergia.

Pionowo: bard, Cham, Tyłman, goniec, Abel, Drda, para, rura, antypatia, Gralewski, Eskimos, eskadra, Ornak, dola, Odessa, Aityka, Znak, szef, umór, ring, Azja.

Nagrodę wylosował Włodzisław Katenik, ul. Warszawska 64, 21-300 Radzyń Podl.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Francuski komediopisarz Devos był ze znajomą w restauracji. Obok stolika przeszedł kelner, trzymając na łożnie szaszłyk.

— Co to? — spytała znajoma pisarza, zaskoczona niezwykłym widokiem.

— To gość, który dał za mały napiwek — odparł spokojnie Devos.

Pewna leciwa wdowa zwierzała się kiedyś Balzakowi, że niezadługo po raz czwarty wyjdzie za mąż.

— Któż jest tym szczęśliwcem? — zapytał uprzejmie pisarz.

— Bardzo zamożny człowiek, fabrykant win — chętnie się wdowa.

— A, to rozumiem — powiedział Balzak. — Winiarze najlepiej znają się na starych rocznikach.

Zona słynnego francuskiego aktora Fernandela na wiadomość, że podwyższono mu honorarium za filmy, zapytała:

— Czy nie sądziś, że teraz, skoro mamy więcej pieniędzy, mogliśmy wynająć droższe mieszkanie lub willę?

— Wolę nie zmieniać mieszkania, bo bardzo się do niego przyzwyczaiłem — odparł sławny komik. — Możemy najwyżej poprosić właściciela, by nam podwyższył komorne.

W początkach kariery słynny aktor filmowy Charlie Chaplin został wezwany do komisariatu za naruszenie przepisów ruchu drogowego. Na widok Chaplina policjant powiedział:

— Zdaje się, że pana znam!

— Być może — odparł aktor, mile polechtany w swej próżności.

— Tak? Od razu wiedziałem, że recydywiśta! — wrzasnął policjant i wlepił Charliemu podwójny mandat.

Do Bernarda Shawa w ostatnich latach życia wezwano kiedyś lekarza, który po zbadaniu powiedział:

— Niestety, nie jestem cudotwórcą i nie mogę pana odmłodzić.

— Ależ ja nie chcę, by mnie pan odmłodził — zawołał wielki kpiarz.

— Ja chcę tylko móc się dalej starzeć...

Wyszperał:
Ryszard Dunin

POCZTA LITERACKA

Andrzej M.-G. Ciężkowice. Każde z opowiadań: „Reportaż”, „Tacy jak oni trzej”, „Bez tytułu” oraz „Przypadek Edzia” zaciękawia, a równocześnie każdemu z nich tak wiele brak, iż w tej formie nie może być mowy o pożądanej przez Pana druku. Najmniej wad zawiąza pierwsze, ale i ono wymaga dopracowania. Selekcja jest w tych nowelach konieczna, inaczej nie dość jasnym pozostaje autorskie przesłanie. Ma Pan dar obserwacji otoczenia, a równocześnie duży zapas wyrozumiałości dla jego słomności, co nadaje Pańskiej prozie klimat sympatyczny. Musi się Pan jednak w partiach narratorskich wystrzeżać zbyt wielkiej potoczności określeń oraz oblegowych osądów.

Niech Pan pracuje nad swoją prozą, podgląda innych nowelistów, bo warto. Szkoda, aby te teksty w takim stanie wędrowały po redakcjach nie dostępując w końcu druku. W wierszach także widoczna jest spora sprawność, ale i w nich brak dopracowania.

W obu przypadkach najważniejszym jest, iż ma Pan wiele do przekazania przyszłemu czytelnikowi. Niech Pan pracuje, a po jakimś czasie prześle mi znów swe teksty, także któreś z tych, jakie już znam.

Józef S. Markuszów. „Ale świat zmusza mnie do pisania, zresztą jest to wielka moja przyjemność...” — wyznaje Pan w liście do redakcji. Pragnie Pan prawdy, bezstronnej oceny. Zawsze jedynie w taki właśnie sposób czytamy i oceniamy nadsyłane utwory. A Pańskie wiersze! Do druku się nie nadają, ale może kiedyś... Niechże się Pan broni przed widocznym w nich pesymizmem. Ma Pan 19 lat, może więc i jakieś jasne barwy dostrzeże w otaczających Pana ludziach a także w życiu społecznym kraju. Zaangażowanie i niepokój nadsyłanych wierszy każą mi oczekiwać w przyszłości następnych korespondencji. TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, Korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14—18.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 233-39.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1.
Telefony: sekretariat 233-52, sekretarska redakcji 218-83, dział publicystyki i literacki 275-38.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1163/83, 14.V.1983 r. 8-4



CO JEST W TEJ PIŁCE?

„Kelnerzy” z Nowego Jorku

POBYT w Jugosławii bardzo przydał się LKS-owi i mnie również. Praca treningowa z Kazimierzem Górskim zaczęła szybko procentować.

Pierwszy mecz przed własną publicznością rozegraliśmy 11 marca 1973 roku z warszawską „Gwardią”. Wygraliśmy 1:0 (bramka Ostalczyka), po niezłej grze. W spotkaniu tym debiutował w barwach „Gwardii”, młodzieńki stoper Władysław Zmuda, który został ściągnięty do stolicy z Lublina (z „Motoru”). Wspominam o tym, bowiem ten niespełna dziesięcioletni złotodziub ligowy zaimponował nie tylko odważnymi interwencjami, ale także spokojem i opanowaniem, co w tym wieku i na tej pozycji nie jest powszechnym zjawiskiem. Raz po raz Władek wygrywał starcia z Mszycą, Kasalikiem, Ostalczykiem; zawodnikami przecież doświadczonymi i wiedzzącymi, o co w piłce chodzi. W bramce warszawiaków bronili Zbyszek Pociąlik, mój dobry znajomy z rankingów bramkarskich. Cichy, spokojny, omijany przez nominacje reprezentacyjne, ale za to pewny, ustabilizowany i od trzech lat notowany tuż przede mną, lub tuż za.

Z meczu tego zapamiętałem potężną bombę Szymczaka z 16 metrów, odbitą na róg i strzał tego samego zawodnika w poprzeczkę. My strzeliliśmy zwycięskiego gola, tuż po wznowieniu gry w 46 minucie; po szybkiej akcji Mszycy i Kasalika oraz kończącym uderzeniu Ostalczyka.

Po tym spotkaniu trener Górski podał skład na sparingowe mecze z „Csepelem” Budapeszt i reprezentacją USA. O swoim udziale wiedziałem już wcześniej. Powołani zostali jeszcze: Szeja (bramka); obrońcy: Anczok, Gorgoń, Gut, Musiał, Wieczorek; druga linia: Cmikiewicz, Deyna, Maszczyk, Kasperczak, Kraska oraz atak z Lubańskim, Gadochą i Wojciechowskim. Udział tego ostatniego był kolejną próbą nawiązania wartościowego prawoskrzydłowego, co nastąpiło dopiero po „wyłowieniu” Grzesia Laty.

Węgrzy okazali się nadspodziewanie silnym przeciwnikiem. Potraktowali sparing bardzo poważnie. Niestety, ambicji nie odpowiadały umiejętności techniczne i taktyczne, stąd chaos na boisku panował straszny. Zresztą i my nie pokazaliśmy jakichś oszalałych akcji. W pierwszej połowie meczu trener Górski wystawił Mariana Szeję. Interweniował on może dwa razy. Próby ataków Madziarów rozbijali Gut, Wieczorek, Gorgoń i Anczok, przy czym od pary naszych stoperów prze-

ciwnicy rzeczywiście odbijali się jak piłki. Jeśli chodzi o Wieczorka, był to jego debiut.

W 38 minucie meczu popisową akcją rozegrali Deyna, Gadocha i Lubański. „Kaka” okiwał w środku pola dwóch Węgrów i szybko wrzucił piłkę na lewe skrzydło do pędzącego „Pilata”. Bramkarz gości myśląc, że Robert zamierza dryblować obrońcą wyszedł na wszelki wypadek kilka kroków w przód. Wówczas Gadocha podał do Włodka Lubańskiego, a ten, nie bawiąc się w kombinacje, uderzył piłkę lobem. Bramkarz próbował jej dosięgnąć, ale stał o te trzy kroki za daleko i piłka wpadła do siatki. Po raz nie wiem już który piszę o profesorowie Włodku, ale zasługuje on na to stuprocentowo.

Po przerwie do obrony cofnięty został Leszek Cmikiewicz, a do przodu poszedł Jurek Gorgoń. Była to próba sprawdzenia, jak olbrzym z Zabrza poradzi sobie w innej roli. Niestety, wypadła ona lepiej dla Leszka, który z równym powodzeniem grał w drugiej linii, jak i na stoperze. W 68 minucie Gadocha po indywidualnej akcji podwyższył wynik na 2:0 i tak już zostało do końca meczu. Publiczność nie była zachwycona naszą grą, a i my zdawaliśmy sobie sprawę, że w Cardiff to nie wystarczy.

Kazimierz Górski zachowywał, jak zwykle, spokój i twierdził w wypowiedziach dla prasy, że mecz był próbą sprawdzenia pewnych koncepcji i ustawień. Zapowiedział także wypróbowanie w meczu z USA innych zawodników. Ja spotkanie z „Csepelem” mogłem zaliczyć do zupełnie udanych i być spokojnym, że w meczu z Amerykanami wystąpię. Miał to być mój debiut w reprezentacji, po niefortunnym 1:3 z drużyną zachodniemiecką na Stadionie X-lecia.

Nie muszę tłumaczyć, jak bardzo zależało mi na tym meczu. Oczywiście

klasę przeciwnika była niska i raczej nie zanosilo się na sensację, ale jakiś niepokój pozostawał. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli coś zawale, następna okazja powrotu do reprezentacji może się nie zdarzyć. Mówiłem o tym często Kazimierzowi Górskiemu, ale ten traktował mnie pobłażliwie i z uśmiechem mówił: „Ty już nie jesteś ten sam, co z RFN-em. Dostałeś swoje i jesteś mądrzejszy...” Było to bardzo sympatyczne i budujące. W ogóle w tym okresie mego życia i kariery „Kazio” wiele mi pomógł, służąc nie tylko nauką trenerską, ale i mądrością życiową, mimo wszystko bardzo mi potrzebną.

Spotkanie z USA wyznaczono na 20 marca. O przeciwniku nie wiedzieliśmy nic poza może informacjami zawartymi w teleksie, jaki przyszedł z Oceanu do PZPN. Informował on, iż amerykański związek przysłał nam „drużynę mogącą z powodzeniem występować przeciwko najlepszym zespołom narodowym świata”. Dziennikarze pochycili to od razu, podając w gazetach bardziej jako dowcip, niż realny wykładnik poziomu naszych przeciwników.

Wśród kilkunastu nazwisk zawodników amerykańskich wiele było brzmiających bardzo europejsko, czy nawet słowiańsko. Nie mówiły one oczywiście nikomu nic.

Ostatecznie rozpoczęliśmy pojedynek z zachwalanymi Amerykanami w składzie: Tomaszewski — Musiał, Gorgoń, Cmikiewicz, Anczok — Kasperczak, Deyna, Kraska — Lato, Lubański, Gadocha. Team USA, co warto odnotować jako ciekawostkę, zagrał w zestawieniu: Ivanov — Ziaja, Roth, Walner, Barzo — Coskun, Stritzl, McMillan — Seisler, Metidieri, Siega.

Przed meczem zawodnicy USA zachowywali się, jakby byli graczami nie piłki nożnej (zwanej u nich: soccer), a futbolu amerykańskiego, mało mającego wspólnego z piłką nożną, za to bez porównania popularniejszego za Oceanem. Szpanowali strasznie i zachowywali się jak gwiazdorzycy. Patrząc na ten cyrk, miałem momentami wątpliwości, czy rzeczywiście nie przysłano nam jakiejś ukrywanej przed światem rewelacyjnej drużyny, mogącej zapędzić nas w kozi róg. Te dziwne przecucia minęły, kiedy wychodziliśmy na płytę boiska. Potem znów — jak przed meczem z RFN — doznałem dziwnego, niepowtarzalnego uczucia przy granie hymnu. Tu chciałbym powiedzieć, że koledzy z reprezentacji na różny sposób przeżywali granie „Mazurek Dąbrowskiej”. Jedni słuchali skupieni, inni śpiewali, jeszcze inni stali z zamkniętymi oczami, koncentrując się.

Już pierwsze minuty meczu pokazały, że mamy przyjemność — nie ubliżając nikomu — z kelnerami, którzy zostali zebrani na lotnisku Johna F. Kennedy’ego i polecili, jako reprezentacja, do Europy. Jedynym wyjątkiem był bramkarz Michael Ivanov,

broniący rzeczywiście bardzo dobrze i z niesłychanym wprost refleksem. Już w pierwszych dziesięciu minutach obronił cudem strzał „Kaki” Deyny z wolnego, Gadochy z woleja, z linii pola karnego. Dopiero w 17 minucie „peki” po strzale Włodka Lubańskiego. Siedem minut później napastnik „Górniaka” zdobył drugą bramkę, kończąc szybką akcją Latę. Prowadząc 2:0, spuściliśmy z tonu, zwłaszcza, że przeciwnicy byli trochę podenerwowani przebiegiem gry i mogli z tego wyniknąć... kontuzje.

Po przerwie Kazimierz Górski dokonał zmian. Za mnie wszedł Szeja i dobrze się stało, bowiem mecz toczył się w fatalnych warunkach atmosferycznych (zimno, wiatr) i na grząskiej nawierzchni, co przy braku roboty (piłkę miałem w rękach trzy razy) nie mobilizuje. Zresztą i Marian się nie napracował. Kraskę zastąpił Maszczyk. Za Grzesia Latę wszedł Wojciechowski. Był to dalszy ciąg przymiarek przed Walią. Również nasi przeciwnicy wprowadzili trzech nowych zawodników, o nazwiskach równie nie mówiących, jak ich poprzedników: Getynger, Renshow, Moore.

Już w 55 minucie Kasperczak podwyższył wynik na 3:0. To do reszty rozbilo Amerykanów i stracili chęć do gry. Próbowali nieporadnych ataków, ale bez powodzenia. Ostatecznie wynik ustalili, na pięć minut przed końcem, Włodek Lubański strzelając swoją trzecią bramkę w tym meczu. Był to jego 61 występ w barwach narodowych, po którym na koncie bramkowym miał już 42 gole. Wyprzedził tym samym swojego kolegę klubowego i przyjaciela Ernesta Pola, dzierżącego dotąd prymat i występów, i bramek. Ten fakt był w zasadzie jedynym liczącym się tak naprawdę profitem płynącym ze spotkania.

Jako pewnego rodzaju ciekawostkę podam, że piłkarze północnoamerykańscy wcale nie przejęli się przegraną i na pomocowym obiedzie wykazywali nadal wielki luz i swobodę. Widać było, że przyjazd do „egzotycznej” Polski traktowali jako turystykę i rozrywkę.

Co wynikało z tego sparingu dla trenera Kazimierza Górskiego? Generalnie specjalnych powodów do radości nie miał. Był początek wiosennej rundy ligowej i forma zawodników nie była najwyższa. Jeżeli idzie o poszczególne pozycje, to najpewniejsze miejsca w reprezentacji mieli Lubański i Gadocha w ataku, oczywiście Deyna kierujący grą. Poza dyskusją wydawali się Gorgoń i Cmikiewicz. W sumie pięć osób. Nie wyjaśniona była sprawa prawego napastnika. Wiele znaków zapytania pozostawało w drugiej linii i to budziło największe obawy. Przymierzaliśmy tu: Kasperczak, Kraska, Maszczyk, czy wymiennie Cmikiewicz nie mogli jakoś zgrać się z „Kaką”, tak żeby chodziło jak w zegarku. Na bramce z równym powodzeniem mógł występować i Szeja i Tomaszewski. Za Marianem przemawiało więcej atutów, bo miał bogatszy staż, więcej udanych występów i wreszcie tak potrzebne opanowanie. Za mną mogła przemawiać młodość, zapał do pracy, odwaga

i — co wydawało mi się wtedy strasznie ważne — ambicja, chęć pokazania, na co mnie stać, udowodnienia, że jestem kimś. Takich możliwości nie miałem, grając przeciwko „kelnerom” z USA i bardzo wrałem się do gry z Walią spodziewając się, że w Cardiff pokażę naprawdę, co potrafie.

(ciąg dalszy nastąpi)

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki

LAUREACI KONKURSU „TOMKA” I „KAMENY”

Nasz konkurs okazał się zbyt trudny, choć uważna lektura wspomnień Tomaszewskiego pozwalała odgadnąć odpowiedzi na większość pytań. Nadesłano niewiele prawidłowych odpowiedzi — 2 (1).

Piłki wylosowali: Feliks Kaczanowski, ul. Sienna 77a m. 2, 20-115 Lublin oraz Helena Piecuch, 32-002 Jesionka 77, k. Rzeszowa. Fotos Jana Tomaszewskiego otrzymuje Henryk Jahol, ul. Niepodległości 7 m. 55, 20-246 Lublin. Nagrody wysłamy pocztą.

Kryzysowe banknoty Józefa Tarłowskiego

